

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.

Zespół (fond) 4.

Zbiór rękopisów Biblioteki Baworowskich

Dział (opys) 1

1432. Rozalia, powieść z XIX w.

STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE

Львівська бібліотека
АН УРСР

ВІДЕО РУКОПИСІВ

Дод. 1432

VIII, c. 56

X. -

H. Spittal. K. K. 318/30

Fr. 2. -

Rozalia

Z księgozbioru
Stanisława Spittala

Dział, I No, _____

Wybita dziewczęta: młody lekarz Stern rzucił pióro, westchnął i wstał od biurka.

— Ety, dziś już nic robić nie mogę, wyrzucił suwając ręką po stole; moje rozprawy o leczeniu chorób dziecięcych mógłbym nasamprzód do siebie zastosować. Tak — dziecko ze mnie, i to

chore dziecko; a będąc lekarzem sam siebie wy-
 leczyć nie mogę. — Ej! do śniada! i czemuż, mówił
 dalej, z niechęcią; raz się śniada odwarzyć, raz
 tylko mocno a szybko postarowić, to znowu
 mię fala unosi; i cały ten świat urojony, uszuię
 szalonych, zostawiam daleko za sobą. —

W tém otwartę się drzwi, i wszedł jakiś mło-
 dy mężczyzna modnie wystrojony. Na widok ob-
 cego wyjasniła się zaskorożona mina młode-
 go lekarza, i postąpił ku niemu z utożeriem
 najgrzeźniejszém.

— A! Dobry dzień, kochany Forsbergu; w
 jakiemże to smaxeniu przychodźsz? zapytał,
 przyjaciel czy nieprzyjaciel, chory czy odwiedzi-
 ny?

— Właściwie i jedno i drugie; ale raczej osta-
 trze jak pierwsze.

— No, to musisz się spieszyć, bo mój powoz
 niebawem po mnie zajędźca; ale usiądź, i
 możemy rozmawiać, zanim ja się ubiorę.

— I śladzie taki pospiech? mówił Torstberg, z uśmiechem. Łoży się, jakby spis twych pacjentów przy najmniej, się o sześć stronnic powiększył, i że potowa miasta mdleje za swym aniołem wybawcą, w postaci jasno-włosego uśmiecha Eshulapa, przed którym każdy grabarz zkapkę z uszanowaniem zdejmuje.

— Co ty wiesz? odpowiedział lekarz. Ty jako metody radzca finansow nie masz nic do czynienia, chyba codziennie z urzędu trzyjów zateperować, a finanse krajowe zostawiasz opiece opatrznosci; twoje własne takie a nie wiele sprawniają zachodu; bo opatrność mądre zapobiega, aby cię nie obciążać za nadto.

— Otóż się mylisz, odrzekł metody radzca z uśmiechem; bo właśnie przyszłom zawiadomić cię o swojej świeżej fortunie. Moja stara ciotka, pomimo całej nienawisii, jaką miała do mnie rozrzutnika, hulaki, umarta bez testa-

mentu. Ja jestem najbliższym jej krewnym i jedynym dziedzicem — ergo, widzisz przed sobą pana pięknej kamienicy i 70 do 80 tysięcy talarów — ergo, jestem cotygodniowym urzędnikiem finansów, — ergo, mogą teraz pomyśleć o jakiej bogatej i miłej towarzysze, aby przyjęła me serce i rękę, a przytém dom i wszystkie stare szafy ciotki napełnione srebrem, porcelaną, miedziami i bielizną w dodatku.

Schwarz westchnąwszy lekko, powinszował przyjacielowi.

— Oby, rzekł, niebo i mnie podobną ciotkę zastało, ale na urzędowość, cały świat może wymrzeć, a ja ani szelaga nie odziedziczę.

— Ale zato, odpowiedział Forsberg z pewnym rodzajem ironiji, ty jesteś synem twych dziadków, twych cnót, masz świetną praktykę, która ci za majątek stanie.

— Żartuj sobie, żartuj, odrzekł Stern, chociaż to prawda co mówisz — i w tem moja buma.

Nie taitem nigdy, że moi rodzice są tyśkow-
bodny, rzemieślnicy. Szczęśliwy przypadek ze
szkoly biednych przeniósł mię do bezpłatnego
zakładu, którego mi dostarczył funduszu na
nauki. Dając lekcieje i pisząc dla drugich ro-
sprawy, uzbierałem grosz potrzebny dla dosty-
pienia stopni. Teraz, przebywszy liczne cierpie-
nia, pracuję na życie i z mojej praktyki mo-
gę już utrzymać powóz i konie. Jest to ztem,
dosyć drogiem, ale dla lekarza koniackim,
moim powiedzieć głupstwem, do którego
nas zmusza ta gawiedź z głową barania,
co więcej ufa w konie i powóz jak w poch-
ciwego człowieka.

— A prawda, przypominam sobie bardzo do-
brze, jak ubogi lekarz biegł jeszeze piechota,
mówił Fossberg z uśmiechem, jak nieraz pót

godzinami stał przy magazynach rybn, aby zapętnić czas wolny; aż tu jedyn raz tajemny radzca de Pinzer kazał go wexwać do siebie wśród nocy, i odtąd przez swoje zalecania mnóstwo mu domów otworzył.

Stern zachwiewił się, nieca nim odpowiedział na uśmiech przyjaciela.

— Tak jest, wielom winien temu szanownemu mężowi, mówił na tenkas; ale jak widziś, czyż mnie s tēm lepiej? Mam wysradzic praktykę, która mi rucie kilka tysięcy talarów; ależ zato muszę trzymać honie, prowadzić dom daleko wystawniejszy, bywać na wielkim świecie, a prócz tego tyle do czynienia z drugimi, tyle kłopotów; że udreżony i zmiechżony temi nieczernosćiami, ledwie że chwile mogę o sobie pomysleć.

— Lekarz, odpowiedział Forsberg, powinien

żyć tylko dla cierpiącej ludzkości - to jest jego powołaniem; ty zaś, jak mi mówiono, używasz czasu, nie zupełnie tak bez interesu, jakbys się chciał okazać.

- Coż chcesz przeto powiedzieć? zapytał Stern zmieszany cokolwiek.

- Powiem ci otwarcie, mój Drogi, odpowiedział radca, słysząc, że od niejakego czasu tak jesteś zamysłonym, tak nie swoim, i takim sentymentalnym, żeś się musiał po uszy zakochać, i nawet jak mówią jesteś się gotów ożenić.

- Ciekawym kto to powiada? odrzekł lekarz.

- Wszyscy! zawołał radca. Alboż cię to gniewa? Nie masz-że już trzeci krzyżyk? I dla czegoż nie miałbys już zostać małżonkiem, ojcem, rycerzem pantofla i wychowywać małe dzieci?

- I jakże to królową uracza mi, ten świat szalony? zapytał Stern.

Forsberg wstał, i ujął przyjaciela za rękę.
 — Teraz, rzekł, pomóż mi na prawdę. Wiem,
 mój przyjacielu, jak drogie i trwałe wartości ta-
 cza ci z ubogą Koraliją; wiem, że cały swój
 był prawie winien tej dziewczynie. Od kilku
 lat stawałaś się u jej rodziców; ona ci oży-
 wiała odwagę, gdyś upadała, powieszała, gdyś
 rozpaczała, w nadziei, że przyjdzie czas i jej
 musi się wynagrodzić.

— Powalam, odrzekł Stern z żywością, ale
 przyrzeczenie żadne mi z nią nie tażyło.

Forsberg, wpatrując się weni,

— Nie sądzi, mowit dalej, że w stosun-
 kach tak serdecznych jak twoje i z twoim cha-
 rakterem, tego było potrzeba. Ja co innego, po-
 niważ przez całe byłem jednym s tych ludzi,
 którym gorąca krew dosyć wyplatała figlów.
 Więcej, dwudziestu razy byłem zaskochany sa-

lenie, a paucost 12. mocnym postanowieniem zmi-
 nienia się; nawet z dziesięć razy oświadczy-
 tem się uroczyście swoim normalnym ko-
 chankom; lecz nie minęło czterech tygodni, a
 już oboje wiedzieliśmy z pewnością, że ste-
 go nie będzie. Ale ty, stworzeń powa-
 żny i systematyczny, którego jedno spojrze-
 nie więcej znaczy, jak moje wszystkie
 przysięgi młodości, nie potrzebujesz swą mi-
 łość na przyrzeczeniach opierać. Rozalia
 mocno ci ufa, nawet bez oświadczenia swojej
 strony; a potem ^{lat} cztery nikt nie utrzy-
 me tak ścisły stosunek i paniensko, nie
 mając na celu posiadania, małżeństwa,
 tego zwyyczajnego rozwiązania wszystkich
 stosunków miłosnych.

— A zatem mówią, że się ożenił z Rozalią,
 zapytał lekarz.

— Nie zupełnie. Mitośny, stosunek ubo-
giego lekarza, z córką niebogatego malarza,
niemającego tylko tytuł profesora; nie jest
jeszcze dosyć znanym tej strony. Kilka
osób, smiało tę tylko uwagę zrobić, że od sze-
ściu miesięcy, jak trzymasz konie i pawoź,
bardzo rzadko bywasz w tym domu; a zato,
jak twierdzą drudzy, daleko częściej u Pinze-
row; że ich córka, panna Sydonia bardzo
ci wypadła w oko, i że nawet wkrótce przy-
stasz jej, zerwolenie!

— Fataś, brednie! zawołał Stern, ale obra-
cił się do otęka, chcąc ukryć rumieniec, co mu
wystąpił na twarzy;

— Sternie, patrz mi w oczy i mów otwarcie.
Sydonia — jest ładna, i nie dziwi mię wcale,
żeś się nią zajął wchłowiek; ona ma serce
wyborne, ale wychowanie damy wielkiego swia-

ta; jej ojciec ma znaczenie i wiele wpływu, ale nie jest bogatym; a potem to dziecko nieco hańszone i rozpacze uciechami wielkiego świata, wcale nie odpowiada prostocie twojego charakteru, twojej powadze, twojemu paradowaniu porządku i życia domowego. Sydonii potrzeba człowieka z majątkiem, chcącego w niej znaleźć piękna damę, żeby urniała s tym dobornym i delikatnym smakiem robić mu honory domu, a takim ja jestem, mój Sternie!

— Ty? zawołał z zdziwieniem lekarz.

— Tak, ja nim jestem, odpowiedział radca; zostawisz na raz panem, potrafię zmieścić te hańsury i ten podstęp do zabaw. Sydonia kocham, i jeżeli prawda, że świat omylił się względem ciebie, gotów jestem prosić o jej rękę.

— Czy to postanowienie, zapisał lekarz spokojnie, wpadło ci tak nagle jak pieniądź?

— Oczywiście! zawołał radca. Gdybyin był

ubogim, nie chciałbym jej ręki, ani bym ją mógł
otrzymać. Chcąc zastąpić osobę jak Sydonia,
na to potrzeba pieniędzy. Dla mnie, z moim
majątkiem, byłaby ona skutkiem bardzo ko-
statownym. Dowcipna, żywa, mająca wycho-
wanie odnaczające, i ojca petrega wystywu,
jeonim słowem kobieta jakiej, mnie potrze-
ba; i zdaje mi się, ^{że} moje z nią połączenie po-
winno być równie szczęśliwem, jak twój s-
tę miłą Rozalią, tak poważną, czułą i tak
nawykłą do życia w zacisku domowem. Jej
tegi, dojrzaly umysł ożeni się z tegością i doj-
rzaloscią twójego; równie jak moje upodo-
banie w zabawach towarzyskich, z lekkim
i błyskotnym dowcipem Sydonii. — Oż
rzecz skłoniona, mówił dalej, zatrzymując
się nieco i biorąc za rękę przyjaciela patrzy-
cego nań poważnie w milczeniu i zimno,
— potrzebuje tylko przyskoczyć serce Sydonii.
— Tak! — obawiam się, abys nie przyszedł za

pożno, odpowiedział Stern oziębło.

— I któżby to mię uprzedził?

— Ja - rzekł lekarz s powagą.

Radca wypatrzył się nań z zadziwieniem.

— A! więc to prawda co mówią, zawołał, i taki, oskarżales innych o kłamstwo, a sam kłamales!

— Kiedyś mię już tak znudził, więc więdz o tem: że się żenię s panną Pinzerówną.

— Czy może być, zawołał Forsberg, a sumienioz ci nie nie wyrzucą?

— A to dobra, odrzekł Stern. Alboi ja Rozalii datem śledy słowo, żenienia się z nią? Nigdy - przysięgam ci na to! Nasza miłość była ciagle czystą i cnotą, przyjaźnią tylko, nikim więcej; najmniejszej ni było przystem żadny narciężnej; Mogłem wyprawdzie miewać czasami myśli zmieniające ku ścisłszemu potężeraniu, Rozalia

mogła także tak myśleć, i stąd moje dłu-
ga nawa przyjaźni stawała się serdecz-
niejsza; ale odtąd niechęć już więcej, aie-
by te marzenia przeszłości, które mi
ma przyszłości. Gdybym jeszcze był bo-
gатыm i niezawistym jak ty, s powodu
śmierci ciotki, mógłbym dać posłuch, jeżeli
nie miłosi, to przynajmniej wdzięczności,
i ożeniłbym się z Rozalia; ale będąc ubogim,
muszę honorownie potać się s familią,
której, wpływ może mi zapewnić wybie-
sienie.

— Czy także powody zniechęcają cię do te-
go kroku? zapytał Fortberg, z ironią.

— Mylisz się, odrzekł lekarz z żywością,
one mnie tak zniechęcają, jak ciebie, ani
mniej, ani więcej; Kocham Sydonia, ale ta
miłość taży w sobie i rozwałę rozumu, bo,
potrzeba ci wiedzieć, nigdy, nie byłem pastwą

mych namiętności, chociaż się, twarde i gorzkie
lata próby, przebyło. I teraz, chyba tylko szat
młodego wieku mógłby mi, pobudzić, ażebym
pomysłność mojej, przyjaźni poświęcił zasłu-
bieniu dziewicy, nie mającej nic prócz
serca.

— Bez którego możesz się obejść, nieprawdaż?
dodał Forstberg z goryczą.

Leharsz spojrział na zegarek i chwycił
kapelusza.

— Przepraszam cię, rzekł, muszę się spieszyć.

— Idź, idź! zawołał radca z gniewem, idź le-
czyć innych cierpienia; ale patrz, abyś w
krótce nadaremnie lekarza dla tych wła-
snych nie szukał. Jeszcze jedno, Sternie,
masz ty pozwolenie ojca Sydonii?

— Jeszcze nie; ale spodziewam się że mi
nie odmówią.

— I skądie taka pewność?

— Są dla mnie bardzo ryetliwi, odpowiedział.

lekarz; i temu jedynie winniem nietychich
 pobłażanie moim urzuciom dla Sydonii; ale
 nawet pewność bliższej jej nominacji na
 stopień radcy mdyanego. Od tygodnia mam
 w kuracji księcia Gustawa, i niechybnie zosta-
 nę ordynariuszem księcia. Widzisz więc, mój
 Kochany, jak piękne pierwsze owoce mojej
 mądrości i mego roztropnego postępowania.
 Teraz sam powiedz, czy mam naradzić się
 się tych wszystkich korzyści, i ledwieżem się
 dorobit cokolwiek uciążliwego bytu, znowu
 samowolnie wpadać w rękę i poniewierki.
 Większą część pacjentów mam z taśki i zale-
 cenia tajnego radcy; jedno słowo z jego ust,
 a moja zguba niechybna. Lekarz powinien
 zawsze szukać związków siwiciwiejszych. Gdy-
 bym się ożenił z Rozalią, zagroziłbym so-
 bie na zawsze wstęp do towarzystw, gdzie
 teraz bywam. Być może, że nie zrobił u-
 trzymując przez ctery lat z nią stosunki; ale

czyż można wymagać, ażebym dla ptochości
młodzieńczej, istotne głupstwo popełnił?

— Głównie mówisz, odrzekł radca, światia-
leko przedrej niegodziwość przebaczy. —

— Ach! co to za niestrzeżenie, dodał lekarz z
wzrostem, że w młodym wieku, zacho-
chani po raz pierwszy, podajemy się zupeł-
nie natchnieniom serca, wcale nie zważając
na rozum. Tym to sposobem tysiące mło-
dzi zawierają związki i żenia się, czasami
jeszcze w zupełnej utrudzie, czasami, wytrwa-
wiowszy, się już z małżeń; a zawrze w dobrej,
wierze, że można, bądź co bądź, błąd poświęce-
niem okupić. W obu razach sptacają oni
zawrze dług szczęściem swojego życia. Ci zaś
co mają dosyć zastanowienia, że wczas po-
strzeżę niestrzeżenie, i co wola przedrej, zmieść
gadaniiny ludzkie, jak siebie umieszczę
i drugich; takich świat potępi i hanbi. —
Alboto ostowieśi dojrzali, zawrze ma pohuto-

wać za szaty młodoci? Czyż słowo dane do za-
kochanego i namiętnego młodzieńca, mara-
gliszyc sumienie męża? nie jest to daleko
wspanialej, złamać nieroztropne przyrzecze-
nie; niżeli dla śmiesznej próżności dotrzy-
mania go w oczach świata, rzucić taburek
w morze i spalić swój okret?

Młody, w milczeniu poglądał przed siebie.

— W istocie, obrzekt na koniec, na to potrze-
ba głupca, ażeby, jedynie dla dotrzymania sta-
wa, rzucić się w wirujący otwór; a nieszcze-
śliwe małżeństwo jest daleko straszniej-
sze. Tylko to ogromna różnica, jeżeli nie do-
trzymanie słowa, tłómaczy głębokie przecho-
dzenie o przyszłym nieszczęściu, w unie-
sieniu bowiem widziano tylko powtórnę
nie przedmiot: lecz wcale co innego, gdzie
podły interes, korzyści czysto powierzchow-
ne, duma i zły duch pychły spożywiający
w gruncie ludzkiego serca; stłumia najśla-

chętniejsze uczucia. Twojém rozumowaniem
można bronić wszelkiej niesprawiedliwo-
ści pod stołcem; morderca nawet, i twor-
zywszy sobie filozofią, która go w mniema-
niem prawie utwierdza; rze skrwawione
zbrodnia, obmyje w niewinności.

— Forsbergu! reszt lekarz z największą
spokojnością; najściślejsza przyjaźń ma
swoje granice, dla tego proszę cię, nie
chciej je przekraczać.

— Jeszcze raz masz stwarzność, odrzest
radzka, i nie myślę cię więcej rumienić,
kiedy sam przed sobą się nie rumienisz.
Tyłko - czy istotnieś mocno postanowił
zaślubić Sydonia?

— Niezawodnie, odpowiedział lekarz

— Zobaczymy, zawołał Forsberg wzru-
szony, kto zwycięży z nas dwojgu?

To mówiąc szybko wyszedł, a Stern

zostat na śródku pokoju, s ochylną gło-
wą i zachmurzonem czołem.

— Wypaść los nakoniec, rzekł pochwili,
Bóg widzi, ile walki kosztowało mi to
postanowienie; ale dobrze się stało. Fors-
berg wie o moim zamiarze, w śróćce
nikomu już tajnym nie będzie. Ludzie
pogadają, posmieją się i zapomną, a
mnie sumienie w głoś wola: dobrześ zro-
bił!

II.

*Sydonia siedziata przy oknie, i sypata
 ziarno swemu Kanarkowi w eleganckiej
 skłacie postawionej, na szysfonicie z ma-
 honiu, a w okolicy roboty kobiece, książki
 i dzienniki. Pochoszny neglectyński biaty,
 i zgrabniutki cyppyczek, co niby w ramki*

oprawił kędziory jasnych włosów, jeszcze bardziej podwyższaty tętna, piękność młodej osoby, która czasami spoglądała w zwierciadło, i z długiej powieki strzęsata ostatnie ślady zaspiania.

W tém otworzyły się drzwi, a ona postoiła wesole, podając rękę wchodzącemu ojcu. Tajny radca był słusznego wzrostu i silnej budowy, na twarzy malowała się biurowa pedanterya i urzędowa godność. Wzmarszczeniu ust widzieć było pewną powagę dumy; a w zimnych i rozciągłych rysach twarzy, ukazać wielmożności i wpływu. Na widok pięknej córki rozjaśniły się, przybierając wyraz miłości i stodkiego pobżania. Pocałował ją w czoło i susnął za głowę przytulając do piersi.

— Ach! papo, z minską zawołata Lyda.

nia, wydobywając się z przeszczot ojcow-
skich - papa mi pomnie moj nowy ce-
prezek.

- Moje dziecko! rzekł radzca. Jak wze-
śnie i już wstataś? Dopiero po dzie-
siole! Kiedyż wiecie z balu wróciły?

- O drugiej, odpowiedziała Lydonia -
matom tancyła.

- No - to nowy cud! zawołał radzca śmie-
jąc się; bo zwykle słyszę zawsze przeciw-
nie.

- Takie nudy, rzekła Lydonia porocwa-
jąc, danserow mało do mego gustu - Jeden
Forsberg, można powiedzieć był najlepszym
ze wszystkich, ale znowu wszystko cisnęło
się do niego z powinszowaniami. Wziął
spuszczinę po ciocie, wdowie po generalnym
dyrektorzce wód i lasów.

- A gdzież mattha? zapytał radzca.

— Mama musi spać jeszcze.

— A zatem Forsberg był twoim kawalerem, rzekł radca z uśmiechem — a Sterna tam nie było?

— Prawił tylko przez kilka godzin, odprowadziła Sydonia, i zaraz go zawołano. Biedny ten Stern — przechodzić tak z biału do łóżka chorego.

W tej chwili poważył radca, odwrócić się ku drzwiom, skądby weszła słowna potowica. Była to osoba dumna z wyrazem wyniosłości — powitanie mego przyjęła z uśmiechem zdziwienia.

— Ciebie to zdziwiała, że mię tu znajdujesz, rzekł radca; przyszedłem pomówić w sprawach familijnych; dobrze że wszyscy troje razem jesteście. Dopiero wtasnie, nie ma jak kwadrans, odebrałem list od Forsberga. Zgadnij co pisze.

Pani Pinzerowa rzekła z minką.

— Ten młody meżak, to prawdziwie-
 uspaniate zjawisko; od wczoraj niezmiernie
 zyskał w oczach dobrego towarzysza.
 Na balu był nie zmordowanym w grzesno-
 ściach i atencjach dla mnie i Sydonii.
 Ten list, może się wiele rzeczy domyślać.

— Coż ty moje dziecko! może radzca, nie prze-
 czuwasz treści tego listu?

— Zawsze to będzie coś-śo mię nie obchodzi;
 odpowiedziała rumieniąc się.

— Najsamprzód ciebie, odrzekł radzca z u-
 śmiechem, a twoich oczu uważam żeś odya-
 dla co się w nim zawiera. Forsberg, prosi
 o rękę Sydonii, coż ty na to?

— Ja mówię, odpowiedziała z żywością Sy-
 donia, że w takim razie powinnyby się
 być lepiej do mnie pierwszej udać, niż do
 ciebie, Kochany papo, a potem papawie....

— Taki, taki, wiem dobrze, zawolat radca, ale Forsberga odezwa nasaczyna, korzy-
stna i świetna.

— Forsberg został bogatym — przez snuw-
nię swojej ciotki, rzekła Pani Pinzerowa.

— Sterna z bogactwem, odrzekła Sy-
donia; albo jego praktyka nie przy-
nosi mu przynajmniej więcej tysięcy
talarów.²

— Forsbergowie są bardzo dobrej fa-
milii, rzekła matka, naginając ta-
godnie głosu.

— Jest radca finansów, dodał ojciec,
a przytęm metody, ujmującej powierzch-
owności, dobry pracownik; a za mo-
ją protekcją może zrobić bardzo świet-
ną karierę. (a moje wdanie się może
mu świetny stworzyć zawód.) Pomyśl do-
brze Sydonio, co za różnica między mat-

żonka Forsberga prześwi, a żona prostego lekarza Sterna.

— Żona lekarza Sterna! zawołata Tydonia śmiejąc się, jakże to rzadce, straszne, okropne, nieprawdaż? Ale żona radcy medycznego Sterna, potem radcy tajnego Sterna i. t. d. i. t. d. to brami inaczey, przyjemniej, O! — to wszystko da się zrobić, nie prawdaż panno?

— Ale ty szalona, moje dziecko, rzekła matka Forsberg jest partią daleko słosowniejszą, prawdziwie — to dla ciebie niestychane szczęście.

— Ja niczyjego szczęścia nie potrzebuję, odrzekła Tydonia z zapalem, wolał ja raczej komu je sprawić. Sterna Kocham, a Forsberg mi wcale obojętnym. Stern z charakterem poważnym, pewniem zastanowieniem, godnością i prawością, jest prawie, ile go znam, jedynym, którego prawdziwie można nazwać ciotkiem. Od najniższych stopni to

warzystwa, sam się wyriósł, a to właśnie na-
daje cztowiekowi szlachectwo daleko godniej-
sze, jak stare zwitki pargaminowe. Praw-
da, że mu brak tej ukladności wymuszonyj
i obłudnej, ludzki wielkiego świata, nie jest on
ani tym grzechnisiem bezczelnym, ani tą
śmieszna lalka mody i elyżkiety; ale to właśnie
czyni go milszym i przyjemniejszym w mych
oczach; prośa tego i powierzechowność za nim.

— Co też pobiera minister, mój ojciec?

— Dwanaście tysięcy talarów, niekt radzca.

— A nie mówitxe papa, kilka dni temu, że
niektórzy z naszych lekarzy znaczniejzych,
mają praktykę przeszo . . .

— O! jest kilka, co zbiera przeszo dwadzie-
ścia do dwadzieścia i pięć tysięcy talarów; od-
powiedziat radzca z usmiechem pro chwili
rozmyśle.

— Coż teraz talwiej, mój prapo, czy Forster-
gowi zostac ministrem, czy Sternowi tej-

nym radcą z dochodem dwudziestu i pięciu tysięcy talarów.²

— Patrzcie co to za rachmistrzowska głó-
wka, zawołał radca z usmiechem i uści-
kując ją; w istocie, na takie dowody, nie
ma odpowiedzi. Stern jest lekarzem zna-
nym, mnie uratował życie, a gdzieś go za-
lecił, cudów dohazywał. W tych dniach
zostanie radcą medycynym, dekret już go-
towy, a potem i radcą tajnym zostać nie
ornieszka. Jego bliźka nominacja na or-
dianusa księcia, jest już wyrzekoną, a
co dochody niezawodnie zrównają się w kil-
ku latach przynajmniej z dochodami
ministra.

— Ołóż on moim mężem będzie; a Fon-
berga s wszelką ceremonią grochem u-
wierzyć, wyrzekła s statosia Sydonia.
Marna Kochana także szwala, niepraw-

dać? bo wiem że mama pragnie szczęścia
swojego dziecka.

— Coż robisz, odpowiedziała matka usis-
kując córkę, która ją z przymleniem
objęła w ramiona, ale mi się wcale
nie zdaje, abys ty była szczęśliwą, kocha-
na Sydonio. Stern jest istotnie bardzo do-
brym lekarzem, i cnotliwym poezjowym;
jednakże jego niskie pochodzenie, ma-
niery, przyzwyczajenia, szorstkość umysłu
i rozumu, w utwierdzeniu sętywności pedanta,
a potem ta oględność orzębta, co go nigdy
nie opuszcza; wszystkie to, mówię, niepo-
koi mnie i martwi nie pomatu.

— Temu braku tylko prowadzącej ręki,
zawołata Sydonia. Proszę więc tylko mnie
zostawić, a obaczycie jak go przeskłada-
cie.

— Zapełnione. Nie pierwszy on ani ostatni;

oderwał się ojciec, którego by młoda kobieta nie przeistoczyła. Ależ moja pani, wszak ci się jeszcze nie oświadczył!

— Jego uczucie jestem prawie pewna, potrzeba tylko matego osmielenia z mej strony, a strumieniem popłyną.

— Matka chciała coś jeszcze powiedzieć, gdy stępujący oznajmił przybycie Sterna.

Czarowna twarz Sydonii obrył nagle ognisty rumieniec.

— Proszę mię sama zostawić, rzekła, przytulając się rodzicom, dotychczas igrałam z jego uczuciem i unikałam oświadczeń, ale, zdaje mi się, że teraz dopiero pora.

Kadzica podał rękę żonie, i poprowadził uśmiechając się do drugiego pokoju. Sydonia usiadła na jednym końcu sofy, i opuszcila głowę na rękę. Tu wszedł Stern.

— Zastajesz Wspan, słabo, Kochany Dok.

torze, oderwała się z uśmiechem; ból głowy, gorąco, jakiś ostrope wzruszenie
 ... o jakimś rada że się z W Panem
 widzę.

— Stabości Pani, to zwyższe skutki umię-
 czenia na balu, odrzekł Stern głosem
 lekkiej wymówki.

— Proszę mię nie tajać, nie zastępuj-
 tam na to, boń bardzo mało tańczyła.

— Ale lekki strój, — mogłaś się Pani
 zacięć.

Tu wziął za puls i długo badał.

— Trochę febrę, — odniesiesz Pani kase —
 Dzisiaj — ani na krok s pokoju.

— Będzie postawna, odpowiedziała; ale do
 stotu pójdę, bo wtaśnie mi to papa dopie-
 ro co napowiedział. Pan możesz być spokoj-
 nym, bo nie będzie nikogo, prócz wczoraj-
 szego mego dansera Forsberga. Wiesz Pan,
 że on wielki majątek odziedziczył. Ale prawo-

da, to nie nowina dla Pana, bo to jego przy-
jaciół.

Na te słowa, młody lekarz opuścił reske,
piętniej pacjentki, i żywa bladość obryła
mu oblicze. Ale to wzruszenie nie trwało
jaki chwile, powstał i rzekł spokojnie:
Forsberg jest to wyborny ciałowiesz, żyję mu
w wszelkiego szczęścia.

— W towarzystwie bardzo miły, pełen do-
wcipu i przyjemnego humoru, reszta Sy-
donia, a do tego jaki danser! proszę to
dobrze pamiętać, doktorze!

— Ja się spokojną do słabości przyznaję-
odrzekł Stern — gdyby chodziło o porzyska-
nie zwycięstwa w tanie, upadłbym niezna-
wodnie. — Potem także, nie jestem ani ~~nie~~
wesółym ani dowcipnym, ani zastobli-
wym, mówił dalej: Opatrzności obdarzył-
ta mnie, właściwie tylko pewną, czystą
rozumu potrzebnego ciałowieszowi prostę-
mu i prozaicznemu jaki ja.

— Próżno mówiono mi, że Pan wiersze pisujesz, rzekła Tydonia złościąc się uśmiechając.

Leński rumieniec zapłonął jej oblicze.

— Niema człowieka s czuciem, rzekł. Którego wyobraźnia nie wzniósłaby się z samymi do lotu.' Coż dziwnego, że myśl innym w ten czas przemawia językiem, i jest, jak mówi Lessing, samą tylko tłuwością. Ale w moim charakterze ta poezja jest tylko rozważa i objawieniem uczuć wypluwających raczej z wrażeń wewnętrznych, aniżeli z uniesienia duszy.

— Czy nie można tę duszę natchnąć?

— Stopień uniesienia, jakiego jest zdolna, już osiągnęła dzisiaj; odpowiedział Stern; źródłem tego uniesienia, jesteś Pani; jedno jej słowo, a ono wyschnie; lub wzrośnie i wzembierze gwałtownie. —

Leński ścisnienie ręki, zdawało się dodawać mu otuchij; spojrzal na nią wzruszony i spotkał wzrost peten stodycy.

— *Możesz się osmielić, Pani, wyrazić co czuje?* ... Forsberg o jej refleksję prosił - to niebezpieczeństwo czyni mię odważnym. Wybieraj, Pani, postanow, słowo tylko jedno słowo powiedz! - Wiesz jakem niespokojny - bo przedemną - w szczyściei optywac, lub wiaćnie go się wyzreć.

— *Sternie!* odrzeka, a w tej chwili zabłyśtała w jej oku i spływając po licu rumianem spotkała wsmiech, twoje poetyczne narzekanie jest mi dobrej wróżby - upatruję w nim znak nieba, i spodziewam się, że będzie dla mnie szczyściecia gwiazdą, która rozjaśni me życie.

— *Ach!* więc nie zawiodłem się? jestem zrozumiany? O! powiedz, Sydonio, Kochasz mnie? *Możeszbyś przemieść ubogiego i prostego lekarza, nad ciotowiska ze znaczeniem i taką świetną fortuną?*

Bez żadnej odpowiedzi podala mu obietę

ce, i zachwycone oczy obojga wależyły chwile
 le tliwym i słodkim wżrekiem; potem
 głowa dziewczicy opadła na pierś ulubionia,
 — ich ramiona spleły się w ognistym
 uścisku, a usta gorącym pocałunkiem
 spoity, świątły wżet sere. . .

Tajny radzia prowadząc żonę za sobą,
 otworzył lekko drzwi, i znalazł ich w tej
 postawie.

Ten szelest rozbraił dwoje ślechanów,
 Stern wyjaśnił kilka słów niezrozumia-
 le, zaglęszył je do reszty śmiech radzy;

— Coż-to, doktorze, zawotał, znajdując
 Włana w objęciu mojej córki i to pod bo-
 kiem rodziców? czy i to do recepty nale-
 ży?

Stern wziął za rękę Sydonię i pod-
 prowadził przed ojca.

— Potrafiż Włan się oprzeć wymowie
 takiego obrońcy? rzekł, coż zawiniło me

serce, że się najsamprzód udało do tej, do której ma jedynie należeć.²

— Późnie w moje objęcie, Kochane dzieci, zawołał tajny radca; niechaj błogosławieństwo boskie spłynie na głowy wasze!¹ —

W chwili szczęścia miłego, wszystkie uczucia nieludzkie, co się kryją w życiu ludzkim. Nawet matka Lydenii, zapominając o niedawnych sprzeczkach, czule uściwiała zięcia. I tu spłynęły stołnie trzy + trzy, które zbyt krótko wytrzymały. Potem uhladano plany na przyszłość; urządzano wesele; dalej mówiono o wyprawie, o ~~Wielkim~~ przyszłym gospodarstwie młodej pary, o umieszczeniu jej niedaleko od pomieszczenia rodziców — a sceny tkliwe i wzruszenia się następowały jedna po drugiej.

Narzeczony, znajdując się kilka minut sam na sam z swą przyszłą, rzekł jej uśmiechając się:

— Moje oświadczenie, zastanawia mnie samego — prawdziwie, podziwiam moją odwagę; ale na koniec, następuje to co miate poprzedzić oświadczenie. Potrzeba Tydonio, abys' zupełnie poznała, kim jestem.

Tu opowiadał jej swoje życie i walki z przeznaczeniem; tytło o Rozalii zamilował, wspominając jedynie, że długie czas przemieszkował w domu profesora Wölltera, gdzie długiej i ciągłej doznawał przyjemni.

— Wöller, rzekła z uśmiechem Tydonia, ma i córkę ładną, a o niej mnie nie nie wspominał.

— Prawda, rzekł Stern, to bardzo miła

osoba; nieraz ona rozprószyta mi chmury
na stole. Była moja przyjaciółka, i jest
nią jeszcze; ale niechm więcej, chociaż Ly-
donia, - tak - nigdy ona czem innym dla
mnie nie była. Terli się prawie codziennie
bywa w jakim domu, gdzie jest panna
na wydaniu, nie można uniknąć przy-
wek ludzi, co się nowinkami bawią; ale
ja spodziewam się, że mnie uwierzy Ly-
donia, nieprawdaż?

— Najmocniej i z najzupełniejszém za-
ufaniem, odpowiedziała Lydonia, Forsber-
gowi pewniebym nie uwierzyła; ale o tobie
ani na chwilę nie wątpię, i jestem pewną
że się omylić nie mogę. Mówisz, że cię
twoje własne wywyższyły zasługi - wierzę
mi, to cię milszym czyni mojemu sercu,
godność twójego charakteru, postój i sta-
chetności twój duszy, wszystko to, mój

drogi, łączę mię z tobą szacunku i miłości uczuciem, które nie zostawi miejsca nieufności i podejrzenia. Tak - tybys' nie mógł udawać uczucia, którego bys' nie doznał, albb nie dotrzymać danego słowa.

— O nigdy - przysięgam ci, odziedziczyć Stern s powagą. — Ale jeszcze jedno, dobra Tydonio: moi rodzice są to ludzie ułubczy, lecz uczciwi; i wdzięczne serce moje nie mogłoby się nigdy ich zaprzecić. Mój ojciec, prosciwy stolarz w małym miasteczku, i dumny ze swego syna, nie mógłby mi nigdy przebaczyć, gdybym go na wesele nie zaprosił. Wiadomo, że jego wychowanie od naszego dalekie, ale potężniejsi jesteśmy świętym wzrotem natury; a potem to człowiek tak stęskni i tak śródstronny, że się bez kłótni

i z największą ochotą wróci do swego
miasteczka.

Może to nie wypada mówić o nim w
tej chwili; jednakże chciałbym być pew-
nym, że moja piękna narzeczona, wyż-
sza jest nad rękodemne przesady tylu
cudów, szanownych z resztą, które prze-
cież nie mogą przezwyciężyć wewnętrz-
nej próżności i wstydzają się ubogich rodzi-
ców.

Na te słowa lekko ^{nie}dygnie przebiegła du-
sza Sydonii. Ubogi stolarz a jej teść przy-
szły przedstawił się jej w całej brzydocie,
obok matki tak próżnej i dumnej, w
środku znacznego gi świetnego grona ~~przy-~~
familii i przyjaciół. I to była pierwsza
kropka pioturu, co wpadła w czare
jej szczęścia; ale wysiła ją z odważą,
i z stoickim uśmiechem spojrziała na
Mechanika. To miał być jeden dzień tyl-

ko-ten minie—jedne odwiedziły, które potem długie czas nie nastapia. A tak czuła troskliwość syna dla stariego ojca nawet na tonie upojenia miłości; nie powinna była jeszcze powiększyć szacunek, którego domawiała dla człowieka swojego wyboru?

— Twój ojciec, odpowiedziała, będzie mi najmiłszym gościem, i znajdzie we mnie ten szacunek i miłość, jakiej się po mnie ma prawo spodziewać.

Rodzice panny weszli do salonu. Matka prosiła doktora zostać na obiedzie.

— W Pana stabi, Kochany doktorze, mogą być wzdwież ciepłiwi na dziesiąj, dodata cicho Sydonia, wspierając proźbę matki, uśmiechem; zostaną u nas, przy mnie—marn jeszcze wiele do mówienia z WPanem.

Stern uwaterował czule jej rękę i wciągnął
 Krapelusz.

— Lekarz, rzecht, jest tak jak ról-
 nierz -; stanowiska nigdy opuszczać
 nie powinien i walczyć ciągle z najgroź-
 niejszymi nieprzyjaciółmi życia - na-
 wet najmniejszym natchnieniem serca
 ustąpić nie ~~powinno~~ wypada, skoro
 go obowiązki wywła. I teraz opuścić
 cię muszę Sydonio, aby polecić na boj,
 i skoro będę mógł, powrócę, moja droga,
 a w ten czas będę cię już długo słuchał,
 bardzo długo, aż chyba mię samą nie
 odprawisz.

To mówiąc, wyszedł, a matka Sy-
 donii rzekła z szyderstkim uśmiechem:

— Masz próbkę, twojej, przyszłości! To
 odłowię, co ani na chwile nie należy
 wam do siebie, a tem mniej do ciebie.

— Co za ślachetność, co za tegoś

charakteru! zawołała Sydonia, a wokoło
zajęsniało uniesienie; o jakież dum-
na z niego, i jak stuszenie opiera się
naszym próżbom!

— Bardzo stuszenie, rzekł tajny radca.
Gdyby wszyscy lekarze naraz się
pożeniłi, i każdy zechciał przy zonie
siedzieć; niewiem, co by się stało s cier-
piącą ludzkością. Ale, zatoż się, że
większaby część pozdrowiała; bo więk-
sza część choruje tytko s powodu lekwa-
rów; —

III.

Jednego z następných wieczorów, Stern
zawinięty płaszczem, promykał wzdłuż uli-
cy, dosyć oddalona, od okazałej wieży stoli-
cy. Przed jedną z wielkich kamierie zatrzy-
mał się i spojrział na drugie piętro. W o-
knach światła nie widać, jednakże otworzył

drzwi z ulicy i poszedł cicho po schodach.
Na drugim piątrze stanął i słuchał.

W bliźnin potroju wstąpił dźwięk fortepianu. Była to słodka i rzuwna harmonia przerywana tylko chwilowemi odstępy, niby westchnieniem; była to fantazja dzika w tęsknym rozdzierzgnięciu bertadzie, w której widziałeś jakby walcę chaosu, myśli przeciwnych i wzruci. W końcu głos zadrział kucznym podzwizkiem i umilkł — Stern zdawał się coś postanowić. Potem otworzył drzwi prawą ręką i wszedł do wielkiego potroju. Było ciemno, bo tylko blask z ulicy słabym promieniem przyświecał. Po ścianach złote ramy liczných obrazów jaśniały w półcieniu, a w głębi ścote fortepianu wstawiała zwolna biała i wysmuska postać.

— Kto ta? — zapytała dźwięcznym i harmonij-

nym głosem.

— To ja, Rozalia, odpowiedział przybliżając się Stern.

— Ty, Gustawie, rzekła i drwiąc jej głosu zadział mimowolnie radością, zadziwieniem i głęboką tęsknotą. — Jakże się cieszę, że cię znowu oglądam. Usiądź tu, na sofie, na swojem zwyczajnem miejscu — ojciec mój wyszedł, rozmówimy s sobą sam na sam.

— I ja właśnie obratem tej chwili, rzekł Stern, wiedząc że cię samą zastanę. Mam ci coś powiedzieć bez świadków. Może będziesz dać światła?

— Na cóż tu światła, Gustawie, odpowiedziała Rozalia z wymuszona spokojnością.

— Mów, Słucham cię.

— Wiesz? że ja się żenię.

— Mówiono mi o tem, rzekła — s panna Pinzerówna; ale dotąd, nie mogłam temu wierzyć.

— Nie ma wątpliwości, rzekł Stern spokojnie,

— tak jest; tyłko mi przyśro, że mnie Nitos uporo-
dził w doniesieniu ci tej nowiny. Ctery lat
mija, Rozalio, jak posiadasz mój, najwyższ-
szy szacunek. O przeszłości zamkniętą, bo już
zapmną, zamkniętą, zimną i zapomnianą;
a odtąd musi dla mnie być objętą; nie po-
winieniem nawet pytać, czy rajem mi była,
czy pustynią; jej pamięć nawet muszę
wytrwać z serca mojego, żeby mię mo-
gła zgubić. Rozumiesz mię? Rozalio!

— Rozumiem, odrzekła — słusnie mówisz.

— Prawda, ty jesteś silnym, Gustawie, jesteś
człowiekiem w całym znaczeniu; ale i
Bóg nie potrafi stłumić pamięć tego, co
było.

— A ja potrafię — muszę, Rozalio, rzucić
oziębło; — bo inaczej, nigdybym nie mógł do-
pisać mojego celu. — Nam się, potrzeba
roztaczać, moja przyjaźniość, i być odtąd

obeymi sobie na zawrze. Twój obraz, myśl
 twoja musi dla mnie zaginąć, i przewro-
 ści nie może nic pozostać, nawet ta, smu-
 tna chwila rozstania. Wahałem się długo
 między miłością i wyniesieniem, i wynie-
 sienie się obratem za przewodnika. Wszak
 pamiętaasz, Roxalio, długie nasze rozmowy,²
 pamiętaasz, jakżeśmy często rozprawiali ra-
 zem o celu ostatecznym, jakże sobie czo-
 wiek powinien nakreślić w życiu, i ja-
 kieśmy się na to zgodzili: że powinienile
 możliwości swoje sily rozwijać, wybierać
 najobszerniejszy zakres dla ujęcia swoich
 zdolności, i starać się nakoniec, najwyż-
 szej, stawy dostąpić.

— Tak jest, odpowiedziała Dziewica,
 — tylko zawrze z honorem, tćm najwznoś-
 lejszym godłem życia.

— O honor nadewszystko, rzekł Stern, — ho-
 nor jest to jedyna dźwignia, wszelkiej wied-

Koscii. Wielkość przedemna, Droga Kozalio,
 potażenie s panna Pinzerówną otwieram
 mi drogę, na którąbym nigdy inaczey nie
 trafił. Dział otrzymałem dekret na posta-
 de radcy medycynego, i nierawodnie jeszcze
 wyżej postąpię. - Ale ty masz za nadto
 żywe pojęcie, moja Droga, - nie potrze-
 buję ci się jeszcze jaśniej tłumaczyć.
 Gdybys była panią zwyczajną; musiał
 bym zapewne, chcąc cię przekonać, innych
 używać środków; może wypadłoby mi do
 tudzenia, się uciec; albo, nie mogąc to na
 sobie przenieść, własną przyszłość oba-
 lić dla osuszenia tej rozpaczki. Lecz ja
 cię lepiej znam, Kozalio, ty masz serce
 słachetne i duszę wzniosłą. ~~W~~ Dlate-
 go mówię ci tak otwarcie: potrzeba zerwać
 węzły co nas łączą, - ja potrzebuję stano-
 wiska - stopnia w towarzystwie. Możesz
 to nazwać dumą, próżnością, jak chcesz.

z reszta; ja ci tylko to powiem: że ołowisk
nie powinien nigdy, zatapiając się w pię-
knych marzeniach, prawdę odpychać, albo
poświęcać swe prawa do towarzysstwa, jedyn-
nie uczucia serca. Wiem, Rozalii, że stoba-
byłbym szczęśliwym, i jako matronek, na
tonie domowego pożycia, szczęśliwszym mo-
że, niżli się nim kiedy być spodziewam;
ale robak bóleści gryzłby mi nieustannie i
bez miłowierdza w głębi mej duszy. Przyro-
dzenie zatlito w mej piersi duma, i żądze
wzniesienia się; towarzystwo ludzkie wyda-
je tysiące głupców co się wznoszą, rów-
nie jak tysiące świetnych talentów, co idą
w porzuce; lecz owi głupcy są mędr-
cami, bo umieją korzystać z otulianości;
a owi mędracy głupcami, ponieważ wznie-
ste uczucia serca własną, splatają ni-
dzą. Otóż taka, jak widzisz, jest obecnie wa-
ność mego ducha: zimnej rozważa,

Różalio, poświęcam najprzekradlejsze sny
mojego życia i najwznioślejsze serca za-
paty; - bo ja cię kocham Różalio, i już-
cie cię Kocham.

— Powót, przerwała, przynajmniej
w tej chwili nie myśl już o skłamstwie,
możesz się bronić jeżeli chcesz; ale ja ci
powiadam: Gustawie! tyś mi, nigdy
nie kochał - Gustawie! oszukujesz sam
siebie - to co ty miłosć nazywasz, bytło
cibie wiecznie przedmiotem rozbioru.

— Nie, odpowiedział, właśnie dopiero, am
zaczął uczucia mego serca rozbiierać; w
stugie i ciemne noce jesieni, samotny, i
pastwa bezsermności żarzących; niby da
ulgi oddawałem się rachubom rozważa, kłó-
rej hieroglify, wykształciły się na konie w
jasne i wyraźne pismo. Gdyż po raz
pierwszy zastanawiał się nad etropnym
skutkiem mego namysłu; zimny pot
oblał mi czoło, oczy nieznaną łez, ronity

obfite, a serce zaużytyło stowiem. Ciebie po-
 trzeba się bytoby wyrzec na kawosze, a do te-
 go nie chciałem w sobie doświadczyć; w oddali
 zaś, widziałem światyria szczęścia naszego
 w ptomienicach, siebie pastwa marzeń, a
 ciebie, Rozalio, która chciałem uszczęśliwić,
 upadająca, pod ciężarem, skropionych boleści.
 W końcu namysłem się, zawałem cię już
 odtąd unikać, przygotowywać, i chciałem
 że w miarę wzrostu promyślności rozwolox-
 nej, ubywało rozkoszy sercu; że moje pra-
 wa do towarzystwa stawaty mi się droż-
 szemi nad miłość, i żeśmy oboje nieśmia-
 sławymi być mogli, gdybym był tak sta-
 bym i tej sprawy nie zważał. — Rozalio,
 to moja spowiedź; wierz lub prowatpicwaj!
 a jeśli myślisz że ja się ~~zawolox~~ tudzę, lub
 mi wyrzut jakiś gotujesz: natenczas za-
 pomnij com powiedział, i starajmy się obo-
 je być szczęśliwymi. —

— To jest prawdziwy wyraz naszego rozta-

zenia, odrzeka miłym głosem. Rozalia;
nie, Gustawie, ja ci niemań nic do wy-
rzucenia. Moje serce nie jest tak stałym,
a dumy mam za nadto, i niechciałabym
nigdy wiązać do siebie człowieka, któ-
rem jedynie za pomocą dojrzałej rozwagi
przewidział nieszczęście w naszym pota-
czeniu, i którego przekonanie szanuję.
Tak tyś mnie kochał, Gustawie, ale ta mi-
łość była tylko dobrocią; była słonością
serca, w której zimna panowała rozwa-
ga. Staraj się więc zatrzeć ten obraz.
Ja wiem, że cię kochałam całą mocą
mej duszy; o nie była to wrzoka na-
miętności, ale zlanie się najczystszych
najśladhetniejszych uczuć. Teraz szau-
je cię, Gustawie, i ten szacunek zachowam
na zawsze w mem sercu. Tobie
się zdaje, że więcej zimnej rozwagi jak
człowieki posiadasz, ale ty zrobisz sam
na sobie przykre doświadczenie. Mia-

tabym jeszcze dużo do mówienia, lecz to
 byłoby próżniem, a może obciążałoby jesz-
 cze bardziej twoje serce. Dla tego, opuść
 mnie, mój przyjacielu i nie mów nic wię-
 cej - masz słusność. Postępuj na drodze
 sławy z honorem, a skoro twoje imię
 zablysnie obok imion zaszczytnych, w
 ten czas Różalia zaplaśnie łzami radości,
 a jej najgorętsze życzenia towarzyszyć
 ci zawsze będą. A teraz, bywaj zdrow!
 Idź gdzie cię los, i gdzie cię szczęście
 wola - Gustawie! bywaj zdrow i szczę-
 śliwy!...

Płotki potłoj i zupełne podanie się
 losowi, malowały się w jej słowach;
 tylko lekkie drżenie głosu zdradzało
 gwałtowność sniutających nią urwec.
 Stern chciał jeszcze coś powiedzieć, ale
 słowo zamarło na ustach, i pierws' tylko
 głębokim odpowiedział westchnie-
 niem. Niechętnie ucałował jej rękę,

i przyisnąwszy ją sobie do serca, wyszedł z pospicikiem, nie wyrzekłszy ni słowa, nawet ostatniego słowa przeznaczenia.

Gdy drzwi się zamknęły, Rozalia stała nieruchoma. Potem muskając rękami wstos po obu stronach wyniosłego czoła, jeszcze nadstuchiwała jego chodu, a gdy się zgubił w oddali, postąpiła ku oknu, otworzyła je z lekka, i wreszcie jeszcze śledziła poruszającą postać Kochanki, aż ją zupełnie ciemność nocy schłonięta.

Teraz zapaliła świecę, poszła do swojej biblioteczki, opuszczała ręką z zielonego jedwabiu, i wyjęła książkę: Henryk IV. Szekspira. Czytając tę wzniostą i tkliwą scenę, gdzie Katarzyna de Persy opłakuje stratę małżonka; chwilami rzewna tra zaimita dwiema oho dziewczyny, która śmieje się zesta-

bosiu swojej duszy, stobosiu której się chiał
ta porbyć, nakoniec zaręka w głos
czytać.

W takim stanie zastał ją ojciec, to
ptaczka, to czytająca, i skości. Na
widoł oja powstała, a odebrawszy
ją z wytkniętym płaszczem i kapeluszem; ujęła
go obiema ramionami, i z taką uscisła-
tą serdecznością, że stary profesor z
zadziwieniem na nią spoglądał.

— Ach! moje życie, rzekł, ty mnie
przyuślasz do serca suby swego ko-
chantha.

— Tak moj ojciec odpowiedziała z
przymileniem, — ty jesteś moim daw-
nym kochankiem, najwierniejszym
i najzubszyym, dla tego do śmierci
zostanę twoją narzeczoną.

— Niech ci, Bóg broni moje dzie-
cie, rzekł starzec — Młoda i gorąca krew

mlodego potrzebuje oblubienca, a stary
ojciec nie mógłby ci go zastąpić. — Ale,
ty coś ukrywasz, Kochaneczko, no-no
nie udawaj, wiem wszystko, i ja mam
źródła z których czerpie, a małeśki
mój palec wywróży mi wszystko.

— Ciekawam tylko, czy prawdę wywróży
szekła Rozalia tęsknie się uśmiechając.

— Mówimy szczerze, odrzekł profesor. Zapo-
thatem radcą finansowego Forstberga, a ten
mie się pytał, czy u nas Sterna nie było.
Właśnie został radcą medycznym i ordynari-
uszem księcia. Prawdziwie — pewne niemiłe
nowiny wyprawily mi były w xty humor, dla-
tego ta wieść o Sternie była mi jaskby bal-
samem z nieba, bo przecież nathonie spet-
nia się moje najdroższe życzenia. — I tak
moja konsyliarzowa, dodał radośnie usci-
skając ciotkę — winieniem ci osiuradzić swo-
je uszanowanie. — Ale, zart na bok, nie
było tu radcy medycznego?

— Obył, mój ojciec, odrzekła Rozalia.

— A więc wszystko dobrze i rzecz skonczona, zawołał profesor z radością.

— Tak, skonczona na zawsze, rzekła Rozalia poważnie, bo Stern już nigdy nie zobaczę.

— Jak to, [?] coż to ma znaczyć? [?] zapytał starzec z wzruszeniem.

— Stern się żeni z Parmą Pinzerowną, córką tajnego radcy.

Na te słowa, powstał Profesor z gniewem.

— Jeśli to prawda, krzyknął gwałtownie, to najniegodzniej z jego strony! Miałoby cię przez całe cztery lat twdzić? Miałoby ci stworzyć najdroższych cztery lat z życia, — cztery lat! niepowrotnych! — miałoby jeszcze wydrzeć mi moje najdroższe nadzieje! ^{!?} Nie temu nie mogę wierzyć — to nie prawda.

— Nierawodna prawda, mój ojciec, Stern

jest ubogi, a tajny radca jego dobrodziejem.
Właśnie to opuska tego możnego człowieka dała go poznać światu i te mu tytuły uwyślała; takie tytuły zwiastni, mogą go wynieść do zaszczytów i godności należnych jego zdolnościom. On niemięślniej postąpić, chce sobie stworzyć światły zawód w świecie.

— Podaj mi ptaszka i kapelusze, moje Dziecie, reszt stary profesor sprawiając się do Drzwi.

— Chwilka mój ojciec, zawołata Rozalia, coż chcesz urobić?

— Chce pomówić z konsyliarzem, reszt rozgniewany starzec — i chce mu odkryć piękne postępowanie jego przyszłego zięcia.

— O tego nierób mój ojciec, odrzekła spokojnie Rozalia — ja sama nieprzeję tam jego ofiary. Właśnie godziny nie ma, tu na tem samym miejscu ofiaro-

wat mi swą rękę. Pragnąc lub odmówić,
zależało odemnie. — Odmówiłam — azatem
twojem postępowaniem obecnie możesz
mi tylko zaszkodzić, bo Stern jestu-
pnie niewinnym; ja sama go ni-
chcę.

Stary profesor spojrział na córkę
proszącą i z wyrazem boleści.

— Tak więc chcesz niezwiesić na
mnie bież, zawołal z głębokim west-
chnieniem i rzucił się na sofę.

Rozalia przypuszczała się ku niemu
i z boleścią patrzyła na tę szanowaną
swoją głowę, na której porażonem
czole głęboki osiadł smutek.

— Co ci tak dolega, mój ojciec!
zapylata ze stopy.

Starec wyjął z kieszeni papier
i podał jej w milczeniu.

Gdy nań spojrziała, obawa i zdziwienie

wienie zawiśrzyły w jej oczach, które się w krótkie chwiliwym wyprogodziły spokojem.

— Jesteś uwolnionym od obowiązku, mój ojcie, reszta — ach! martwi mnie, to nie pomatu — przyjdzie nam dwoje sobie wymorować, ale za to będziesz mógł odłąd więcej, używać wieczu, bo i tak czasami ~~mi~~ mi jesteś cierpiącym. Uwolnienie twoje jest honorowe, a to co ci zostało wystarczy na potrzeby. Ja także coś umiém, a teraz wstawie para u tego korzystać. Będę uczyła rysować, maluje także nie bez talentu, jakżeś mi to sam powiedział mój ojcie — przytém posiadam muzykę i kilka jazykownaratem spokojnie oczekuję przyszłości, która mi się wcale nie wydaje tak straszna.

— O! lepiej było, nie odmawiać Sternowi;

zawołał stary profesor — tyś go hochala Rozalio, i niewiem, co cię do tego postanowienia zagnęło? Masz już lat dwadziścia i trzy, ma je dziecko! Dla mnie starca przyszłość ni jest strasną — mnie już tylko kilka kroków do grobu; ale ty, Rozalio, sama jedna, bez majątku, bez przyszłości, bez przytulku w tak ogromnym świecie — o to! to mię uciska i grębi.

— Ja niejestem tak opuszczoną, jak ci się zdaje, moji ojciec, tkliwie odpowiedziała Rozalia — światu mi nie potrzeba. W oświechowej tusce potrafię żyć i być szczęśliwą. Tylko nie nalegaj na mnie więcej, abym ci wyjawiała powód mojego postanowienia; wybór mego do mnie należy. Sternowi musiałam odmówić, bo teściu moje wewnętrzne przekonanie; onby był nierawodnie ze mną, nieczciwym. A tak niuk on idzie swoją drogą, a my swoją.

Moja miłość będzie ci ja prostować, a ty
 będziesz moim przyjęciem, moim śle-
 notem, moim najdroższym skarbem.
 Wszak ja nie mam nikogo, mój ojciec
 prosił cię, tak - cię jednego - a ty
 nie odepchniesz swej wsi.

W jej głosie brato wzruszenie; sta-
 ry ojciec przyjął ją, silnie do serca,
 i rosił złego trawni heban jej złych
 włosów. - Kilka chwil upłynęło, nim do-
 kądź potrafiła ojcu oświadczyć sta po-
 tego swej woli i ta wita, jak nani wy-
 wierata; je jej, związki ze Sternem by-
 ty na zawsze zerwane.

- Na co sobie głowę wtopotać tem,
 co nie należy do naszej przyszłości,
 szczerze - Stern zawsze mi drogim będzie,
 i z dumą siostry ustępuje, gdy zabrzmi
 istawa jego imienia. Nasze serce Dzie-
 li ocean niemierny, i żaden statek nie

uniósłby się przez jego niestronczone fa-
 Tu spokojnie zaczęła wyliczać odmia-
 ny, mające nastąpić w matym ich go-
 spodarstwie, którego potrzeba było potrójć
 uźródleń. Tej rady i plany pełne były
 wdzięku, a stary profesor trafił dosko-
 nale w jej myśl nie wspomnienia
 więcej o niewdzięczniku, którego zupeł-
 nie ustawała wspomnieć. Ona zdawała
 się rozgrzewać uźwiemami przyszłości,
 malowała sobie takowa, w tysiącu dro-
 bnych uźwiem, a szczęście mające wy-
 niknąć z jej pracowitości i staran' go-
 spodarskich i takiem opiewała rozwi-
 seleniem; że porzuciwy ^{profesor} zupełnie uwie-
 rzył, jakoby jego oddalenie od obowią-
 ku było plan' istotnie szczęśliwym wy-
 padkiem, a wyborne serce jego dziwicia

było mu skarbem daleko droższym, niżeli dary wszystkich Akademij na świecie.

Rozalia przyrzadziła wszystko do skromnego posilku na wieczor, gdzie w zakątku spiżarni wyprużona ostro trza, butelkę wina, a gdy nalewata szlanki, ojciec z radościem na nią spogladał.

— Moje dzieci, rzecze do niej — ty podajesz wino, gdy nam się trzami poić wypada? Ładuje się, jak gdybyś chciała tych kilka chwil przemienić na dzień uroczystości, chociażbyśmy więcej uciepili oboje jak w czasie całego roku.

— Napijmy się na pamiątkę, mój ojcze, odzenta — po szczęściu następuje niestety i przeciwnie, wszystko na świecie zmienne. Ja mam duszę wielką i czuje, że jestem słachetna, szlachetna;

boleść w mem sercu gasnie, i drzewem tyf-
 ko na obliczu przesłonię, wgtowie zaje-
 knie niby spiew tęsknoty. W mej piens-
 tli sła boska, praruje pchoj, w cierpie-
 niu uczuwam szczęście - wyzywam przy-
 słaść s calem jej, porzeczaniem -
 pagnę² żyć s calem, duma, dusy nieugie-
 tej, i silnej. Ten dzien' byl szczęściem
 dla mnie mój ojciec; on mi przyniósł
 błogostawieństwo; dziś głębiej sięgnęłam
 wrokiem do serca - lepiej poznałam
 siebie, i cuję ziemi podobna do owych
 dębów rozrostłych, których burza nie
 ugnie, a wywróci tylko brzęczenie zie-
 mi lub potop, przed którym nie osta-
 tyby, sie same bogi.

Dwieci jej głosu, którym dorawia-
 ta tych słów, wygrywało natchnienie.

Stary profesor ostygiat, a nierozumie-
jąc ja z lekka zakotywał głową i
usmiechnął się z wyrazem niewiary.

— Nie jesteście to rycie nędzinie, mówiła
dalej Rozalia — troszczać się nicustan-
nie o jutro? Niech przyjdzie, i naspicie
nas gotowymi. Mój Boże, co nam mo-
że ten nędziny łow zrobić, przed którym
tak Drza ludzie? Najwięcej może nas
rzucić do chaty wieśniaczej, a zamiast
potraw sokrystych, podać czarny chleb
nędzy! a zatem, ~~to~~ tylko upokorzenie
pychki i wzruszenie żołądka sieje po-
strach na największą część ludzi. Ale
czyż nie mamy rąk i rozumu do
zwalczenia tego nieprzyjaciela!?

— A jeżeli choroba nas złoży? zapytał
śliczka profesor.

— Kto mężnie walczy, straszyć się nie powinien; serce porzezwiązane o sławę nosi, nadaje siły oporu. Zwyciężyć siebie samego, to prawdziwa godność człowieka; kto tego dopetrnit, świat zewnętrzny, przypadkiem go nie zastraszy, przypadek ugnie się pod silą naszej woli. A więc cieszmy się ojcie, dzisiaj obchodzimy święto nadziei — obaczysz ile nam szczęścia i bogactwa przybędzie.

Stary ojcie uradowany serdecznie ją uścisnął.

— No — moje dziecko, ten co ciebie pa-
siędzie, nie może być ubogim lub nie-
szczęśliwym — ach! dopiero czuj spraw-
wiedliwość twójego powołania; tak, w
spotkaniu tylko dopełnianiu swego
przeznaczenia znajduje się szczęście, któ-
re jedynie od naszej woli zawisło.

Długo jeszcze tak rozmawiali - na-
 koniec Rozalia ucałowała jego
 na dobranoc, odeszła do swego po-
 kojku, a ojciec udał się także na
 spoczynek.

Nagie gaterie drzew ogrodowych
 szelesiały po chnach, szum nocny i lek-
 kich powiewów szmerzał śliczą oho-
 to samotnego mieszkania. Niebo by-
 ło jasne i zimne, blade światło ksi-
 życy przezroczystą falą przelewało
 się po murawie, a cienie murów i
 drzew ścielity się na niej w czarnych
 i wydatnych rysach.

Rozalia zgasła lampę, aby nie
 miewać tej gry magicznej i tajem-
 niczej światła, w miłym promie-
 niem lato spokoń w zburzone jej
 serce. Sama usiadła w cieniu na łóżu,
 nogi spoczęły na tych światła rysach, a ona

marząca, pusała myśl za upłynieniem
 rzeziem, przebiegata porysite nadzieje,
 iadze i swoje, mitose, wywotywnata w
 cieniu rjawiorka i obraxy, co jan blysk
 przemknety w jej Duszy, i dlugo sci-
 gata je westchnieniem, txami i usmie-
 chem teshnocy, az znova w szare cu-
 nia nocu zapadly. Tymczasem ziemia
 i księżyc toczyly swe kregi, i w krotce
 ta gwiazda nocu opromienita cata po-
 stac' Rozalii - Wstata, jan gdyby chciata
 otrzasnac te naptywajace ja blaski,
 zwierciadło na przeciwo, je porbie-
 rato, i oddato w drzacym odblasku
 jej obraz blady i teshny, a wzniosly w
 swojej teshnocie.

Tu wznoszac rce ku niebu, które
 istrzyto gwiazdami, zawotata: - O!

natury wieczna, dodaj mi siły, podnieś
Ducha, uspokój serce - mów, mów
do mnie, niech ustąpię, drwił świę-
tej twojej mowy. Powiedz mi, jaka
nagroda tak wielkich boleści?

Ledwie wymówiła te słowa, i po-
bliższej wieży uderzyła dwómasta. Ro-
zalia w biedzie, cała oblana światłem, któ-
re choć ośmiu tylko skazanych obfita-
ła, lenkiem szarzej cieniem, postępo-
wała ku toż, jaśniejąca, jak anioł,
co spórniomy pospiesza ku niebu. W
tej chwili chmura zasunęła księżyc,
białe światło zagasto, a ona z głęb-
okim westchnieniem padła znów na
toż.

— Nagroda cnoty spoczywa w
nim samym, wyrzeka, wicha, a przy-
szłość grobem i zapomnieniem tylko.

obdarsza upadły ten ród. A więc nabierz
 odwagi serce moje, uzbroj się protegą,
 swojej wyższości - ciesz się, że czujesz
 więcej i głębiej jak chęć porzeczanie,
 żyj wiecznością, myśli, tej myśli du-
 mnej i wzniostej, co przechodzi z wie-
 ku do wieku, co szuka wiedzy i
 prawdy, a znajduje, niestety! tyl-
 ko wątpliwość i wierne milczenie.
 O jakże słabym jest człowiek! chęć
 być silnym i spokojnym na tym
 świecie, musi koniecznie słuchać dru-
 giego. O jakże słaba ja sama,
 jakże słaba i nikczemna; modląc
 nagrody, za rany serca, trami kale-
 wać muszę, ogień wzburzonej krwi!

Tu ody Koralii lunety stumieniem
 gorących łez. Chciata go zatamować
 i zacisnąć z gwałtownością konwulsyj.

na obiemna rękoma rozigrane rękodo,
 ale w krotce ręce opadły, wylos nad-
 ha, jeszcze tła, czasami zastemrzał;
 tylko dusza dręta w uciśku waihi
 między rozumem a sercem, aż nako-
 nic serce porumogło: obropne wraże-
 nia rozety weni' bic' setniej, a szze-
 scie rozwiane w samej nadziei wy-
 warto ostatni najgwaltowniejsty cios.
 Padła pod sita, boleści.

Dopiero po niejakiem czasie upo-
 koita się, i otarta ostatnia, tła, i po-
 więtki. Wskazyć ułhawę piętkości w
 cierpieniu, jeszcze raz zajrzał promie-
 niem do jej sypialni, i tylko uśmiech
 nadziei blyszący testnota, powstrzeżł
 na jej obliczu.

— O'cha, być tak mileraca jarkty,
 wyzrehta - i jarkty zimna, najezar-

niejsza chmura, nigdy mi, na zaw-
 sze nie racini; a teraz dosyc' jiz
 skarg i tez, w milozeniu dopet-
 niae poroznaczenia umiemy. -

IV.

Zarczynny modycznego radcy z tad-
na, Sydonia Pinxerowna, odbyty si
z uroczystoscia, i juz dzien wesela si
zblizal. Nie jeden zadrosit mu szere-
scia i dziwit si, jak mogl radca
tajny a przetyem znacznej familii, corth,

jedynaczkę wyjąć za człowieka stanu mię-
skiego, i bez majątku, którego przysięgi
dość niepewna, a największa nadzieja w
opiece teścia.

Na dwa dni przed ślubem przybyła
siostra pani Pinckerowej - wdowa proste-
resie już nie młoda z wykwintnym
utożeniem i wymuszona godnością, ce-
cha szlacheckiego herbu. Łkanie o na-
rzeczonym, sama w sobie już, mało
schlebająca jej dumie, stało tylko spry-
jato lekarzowi, którego proste utożenie,
zimna i powatna grzeźność miała dla
niej coś gminnego, odrażającego, i nieraz
już była przedmiotem jej uszekypliwie-
go dowcipu.

Stern w ostatnich dniach prawie
ciągle bawił przy swojej narzeczonej. Pa-
lexąc niejako już do rodziny, niezapowia-
dając się przychodził co Sydenii, często

nawet bez wiedzy rodziców. Miewał z nią zaw-
 sze tyle do mówienia, o urządzeniu domu, o
 wielkiem pomieszczeniu, co najął w pobli-
 żu i już przyzobcił, o stujących a nabo-
 niec o przyszłych nadziejach. Często przycho-
 dził nawet do jej pokoju, lub oczekiwał ją
 tam, jeżeli wyszła. Sydonia uszczęśliwiona
 miała także wiele do powiedzenia - pomys-
 łów mnóstwo - różne rozporządzenia, spra-
 wunki i tysiące dobroci, których wymaga za-
 prowadzenie nowego gospodarstwa; wszystko
 to ubrane marzeniem miłości, przyjemnie
 kotywało jej duszę. Sterna cieszyła te miłe
 gwarzenia pięknej i młodej dziewczyny, która
 go tak pochochata; a potem ona tak ładnie
 rozprawiata o wszystkim, takim wdzia-
 kiem malowata przyszłości, a gdy oholik-
 nowi jąka przypomniała jej, że wkrótce
 zostanie żoną, tak zalotnie umiała ubrywać

zarumieniona, przestętna, twarzą i klatką na
piersi ulubienica. W podobnych chwilkach
rozjaśniało się powaźnie coby leharra,
który nowej doznawał roztoszy, idąc za w-
rokiem tych stódkich chwilk, kłaczących się
zawsze wzajemnie przyrzeczeniem więz-
nej miłości i nadzieją niewymownego
szczęścia na przyszłość.

W dzień przybycia peresowej trafilo
się właśnie, że Stern oczekiwiał Sydonii
w jej pokoju z niecierpliwością kochan-
ka; nakoniec usłyszał jej głos w przedpo-
koju, i perwawszy się skoro, stanął za
drzwiami, chcąc ją niespodzianie zachwy-
cić. Już nawet wyciągnął ramię i na-
głe znów opuścił. Sydonia nie była sa-
mą. Przy jej stódkim i harmonijnym głosie
usłyszał suchy i śnapliwy matki, a przez
tego Krzyżliwa, i pisząca Peresowę.

Byłoby je chętnie obie za morze wystat.
z niecierpliwością; jednakże musiał przys-
tuchiwac się ich rozmowie, i ciągle się
obawiać aby go nie odkryto.

Po kilku obojętnych naradach i kłopotach
o wydatkach, przesyła drwiciącem zapy-
tata głosem: — A propoz' a gdzie-to
czuły obłubiniec? Czy i wieczorem chodzi
do chorych.

— On zapewne będzie już w moim
pokoju, odpowiedziała z uśmiechem Sy-
donia.

Stern wstąpił się cicho pod ptaszek
na drzewach wiszący; Sydonia otworzyła
pokój, zagładnęła i powoli odchyłając gło-
we, rzekła, — jeszcze go niema.

— To ty go w swoim pokoju słuchasz?
zawotata przesyła.

— A jużż, odpowiedziała Sydonia ura-
żona; — alboż to grzechem?

— Przynajmniej jest to wykroczeniem przeciw przystojności, odrzekła matka chcąc udobruchać siostrę; znając dobrze stosliwość jej języka, i odrazę do nowego sióstrzenia.

Przesocwa przestała się śpieszyć pro pokój i rzekła z gniewem:

— Ja się wstrzymać nie mogę, muszę mówić; Sydonia jest moją sióstrzennicą, ty siostra, Cety ten mariaż jest przeciw konwenansom, prawdziwie, ja niepojmuję waszego zawstępienia. Córka mojej siostry ma zaślubić doktora, którego jest synem uboższego rzemieślnika! a fi! — to rzecz nie stykana. O znam ja te nowe zasady — prawda, czasami potrzeba się resignować, bo już na nieszczęście do tego przyszło, że szlachta nie bardzo szanują, nawet mało kto na szlachectwo zważa. Prawda że teraz zapomina się nierówność urodzenia, byle tylko majątek i godność a przynajmniej majątek pro-

siadać. Gdybyście byli choć taku wybrać zro-
bili, niemiatabym nic przeciwko niemu; ale
wybrać człowieka, co się ničem nic odzna-
cza, człowieka bez imienia, bez fortuny, a
nawet wcale nie pięknego, aby jeszcze pokrę-
to ten nierozsądny; którego z reszta los tył-
ko wygiagnął de l'abjection et de la misère — co
tego, to za mało; c'est affreux et ridicule en même
temps.

— Te tłumaczenia już są za późno, odrę-
ta konwyliarzowa z lekkim westchnieniem,
— i zdaje mi się, że

— Powinnście byli rozsądniej sobie po-
stąpić, przerwała przerosowa — ale i teraz
jeszcze czas. Muszę pomówić serio stwo-
im mężem.

— Nic wiele z nim poradziła, smutnie
odpowiedziała P. Pinnerowa. — Wszak to on
uroił sobie to małżeństwo. A potem, sama
zwał moja siostra, że się już trudno cof-
nąć — nie — nawet nie podobna.

— Obawiając się, żeby to nie zrobiło edat, rzekła przesłowa, ale wolcie to zmieść, jak później zatowar; Sydonia pojmaje to także.

— Dostanale, Kochana ciotku, odpowiedziałam wrzucym ze wzruszenia głosem; — milczalam słuchając aż do końca, a teraz proszę pozwolić mi mówić. Ja za Sterna pojde, bo go Kocham, satej duszy — i pewne niekiedy Duma nie zmieni mojego zdania. Mam pozwolenie rodziców, a więcej mi nie potrzeba. Nikomu nic do tego, w czym sobie kto szczęście zakłada! Ładuje mi się, że mię Kochana ciotka rozumie, bo już nie jestem dzieckiem i wiem co robie. Byłabym bardzo wdzięczna Kochanej ciotki, gdyby się nie wdawała w tak świętą rzecz, jak moje zamęście.

To mówiąc pędem odeszła i mocno trzasnęła drzwiami.

— Sydonio! zawołata Konsyliarzowa —
co za niegrzeczność!

— Powiedz raczej bezczelność, z gniewem
zawołata prozesowa. Moja siostrze, niechaj
tu więcej robisz zgorzzenia, chociaż i tak
stulejbyś tu nie bawiła. Wszystko słon-
czone między rana a ta filozofia de ringt
ans — ach tyś to temu winna, ty, i twoja
przekłeta edukacja.

Konsyliarzowa nudaramnie starała się
uspokoić rozgniewaną prozesowę, która ob-
szypywała siostrę wyrzutkami, aż się
nathonice obie w rozgniewaniu rozeszły.

Stern wychylił się z swojej kryjów-
ki i ze spuszczonej głową niby winowaj-
ca przebiegł cicho prokoje. Chocąc narzecie
coś postanowić, starał jeszcze w przedpo-
koju; w tym gniewie i smutku wrócić
między farnilia — niepodobna, więc bez dal-
szego namysłu powrócił do siebie.

To co słyszał, goryczą napętniło mu serce. Dumne ubóstwo wzgardą doptaca pychę bogatym, a ich nabożność zbija wzniostem uniesieniem ducha. Człowiek walczący przeciwko niesprawiedliwości towarzystwa, a, w głębszym uczuciu własnej godności, nie mogący przexwyżyczyć przeszkód; ratruwa swe serce gorzką nienawistią ku ludziom, skoro niema tyle filozofii, aby to śmiechem przyjmował.

Stern w czasie swej poniewieści i gnuśzenia, często doświadczył siły słachetnej dumy; z wielką ofiarą wstąpił na szczebel tashi, bo zasługi zdawał mu się zbyt poziomym. Już marzył o szeregach, aż tu naraź, postrzegł, że wszelkie jego usiłowania nigdy nie potrafią zniszczyć żadnego przesądu. Ta myśl przeszyła mu serce jakby kolcem cierniowym, którem najgłębiej utkwit. W tej chwili. Żal gro-

żno powstawał w duszy i jasnym miernem
 weni godził. W oczach stanął obraz Rozalii,
 a obok niej Sydonii wimnicująca się pro-
 stać. Jeszcze zdawało mu się, słyszeć ten
 zagniewany ^{jej} głos, te wyrazy gorzkiej iro-
 nii, któremi bronita swa, mitosi; i ten
 odgłos brzośka z jaskiem zamknięta drzwi,
 chcą nity, nadać więcej mocy stowu.
 Rozalia, bronita by się podobnie? ... z
 westchnieniem tylko wymówił jej imię,
 i obiema rękoma zastonił sobie twarz. ...
 Ale Sydonia Kochata go; przygotowa-
 nia już pokryciono; cofnąć się już nie-
 podobna; a więc dumnie wzniósł głowę,
 a w oczach błysnął zapal silnej woli.

— Zawstydyć tę pychę, rekt. — Miałby
 bym radzić przed nią? nigdy! Co mi
 obchodzi gniew starej baby; Sydonia jest
 moja; a więc do mnie należy zbic' tę na-
 dętość, a wozelki gniew upokorzyć.

Tu wstąpił jakiś szelst, i zabrzmiął
 głos dzwonka. Po chwili zadzwoniono
 znów, a nikogo ze służby nie widac.
 Stern sam wziął świecę, odezwał drzwi,
 któremi wszedł szybko jakiś człowiek po-
 desły.

— Mój ojciec, zawołał Stern, obejmu-
 jąc go ramionami — porzeź cię znów
 widzę.

— Ojciec jestem, Gustawie, rzeź śmiejąc
 się — a nie zamykaj tam mój synu, bo
 jeszcze ktoś na dworze.

Leżąc wychylił się naprzód, a wtem
 dwoje ramion objęło go za szyję, catus
 zawisł na ustach, a drżący głos powta-
 rzył: Gustawie!

— Matko! zawołał Stern, moja dro-
 ga matko! jakże niestychana spra-
 wiasz mi radość!

Piedna kobieta sptakata. Gene

pracierzynstkie bito dumnie w usciach.
 takiego syna. Na widok swego wrocha-
 nego Dziurcia tak była zachwycona, że
 go ciągle z nowem uniesieniem suska-
 ta - a do wyrażenia uczuć słów jej za-
 brakło.

- Moja stara nie chciała sama w do-
 mu zostać, rzekł ojciec z rozrzewaniem
 - i ożi jesteśmy oboje u ciebie, mój
 Kochany synu; ale nie będziemy ci się
 długo naprzykrzać, i skoro pro weselu,
 wrócimy do siebie.

- Spodziewam się, że tu zabawicie jak
 najdłużej, rzekł Stern.

Przeciwy stary, zaczął się rozpatry-
 wać w pokojach bogato przybranych i
 zapiotywał głową.

- Nie, nie, zawotał uśmiechając się,
 to nie dla nas, a my nie dla was. Na-
 bym się tu nigdy nie nauczył śmiało chodzić.

Dobry w ciebie syn, Gustawie, że rozweselasz
na starość dni twoich rodziców. Stwojiej
tastki, mamy tyle Bogu dzięk, żebyśmy
wcale nie potrzebowali pracować. Ale to
być nie może, ja jeszcze dość orenstwy, po
trafię robić hyblern; a twoja mattha, nie
wiem, czyby przyszlata, aby kto inny ku-
dnit się gospodarstwem, a nie ona? a
tu co byśmy robili, bez zatrudnienia przy-
szłoby nam zginąć z nudoty. W domu
znajdzie człowieka zawsze coś robić. Stolarz
taki sobie dobry jak ktoś. A nie onie
to ludziom piewosze i ostatnie mieszka-
nie buduje. Ot tak zostaw starego ojca
na jego miejscu, i tak będziesz nasza
powiecha; a stara jak raznie opowiadać
o twojem państwie i z jak wielką ty
się Pania ożerit, to wszystko kumy
jęby protwieraja.

Ostatnie słowa ojca wydały się Sko-
 nowi gromem, co rozdarł rąstom, uciąć
 synowskich, i odrzucił przed nimi dale-
 ki widok nie miły, bo zaciągnięty chmu-
 ra. Zastubić wielką Panią! Potęczy się
 i familia szlachecka! Na te myśli za-
 drzał. Ci ludzie od kolebki napawani pra-
 sādami o stopniach i przywilejach to-
 warzystwa, wzrosli już w nieuawisie-
 dla klasy, pracującej; do której przecież
 należeli jego rodzice. Chociaż to ludzie
 dobrzy, słuchalni z sercem na otwó-
 ale zawsze tylko mieszkanie z małego
 miasteczka. Wzrostły między siewne gro-
 no gości weselnych, co innego mógł
 wzbudzić ich prostactwo strój, ich mo-
 wa, niewyskrupienie, obywatelstwo; jeżeli nie
 śmiech, grube rarty, szperstkie uwagi,

a w duszy dumnej cokolwiek, gorycz i wstyd! Wszystko to żywo dotykało Herma, jego urucia staby, i podczas gdy rodzice opowiadali mu długie dzieje swego miasteczka; długo i szeroko wspominali o dwunych przyjaciółtach i znajomościach; opisywali najmniejsze wydarzenia swego cichego życia: on stawał walczyć sam z sobą, ~~rozważał~~ ~~przez~~ przemyślując, jakim sposobem tych pozuwanych prostactwów w tak dostojne grono wprowadzić!...

Nawyknienie wygwiera wytytu, nawet na najzimniejszym sercu. Z jakąż to dumą byłby ubogi lekarz Herma, zaślubiając Rozalia, swoich pozuwanych starych na pierwszym miejscu posadzić; a radca medyczny wśród świetnego grona nowej familii, ^{być} musiał z nimina-

cem wstępu na tim, myśleci tylko o sy-
 derstkich spojrzeniach prorysowej, i roz-
 praszac' Amury niechei, obiadajace
 czoto nawet samej Sydonii; wreszcie
 obejrzawszy badawczem okiem stroj i
 utozecie rodzicow, niema granowata
 go rozprask. Wolalby, aby byli nieprzy-
 szli, przynajmniej nie ta raza - a z dru-
 giej strony wstydził się, znowu wy-
 pierac' najswietlejszych uczuc' miłości
 synowstwiej. Pycha toczyła mu serce;
 nadaremnie staral się podbiec ja do-
 ma sity moralnej. Celowisk puszcio-
 sły się raz faterywa, droga, traci
 prawdziwe swoje sumienie, i zwat-
 piwszy sam o sobie, przemysłliwa
 rażej nad nowem omamieniem
 siebie, jak nad powrotem do pier-

wrotnego usposobienia, które odzyskać,
zdaje mu się być niepodobna.

Na koniec postanowit. Zmienić
rzecz całą, już było za późno, ale po-
niważ rodzice dopiero w dniu wesel-
nym mieli się potarzać na pokojach
tajnego rządu, można było tymca-
sem przybrać ich miodnie, aby przy-
najmniej powierzeńczość nie uderza-
ła nikogo. Izto tytko o to, aby można
usunąć ich opór w tym względzie, bo
stary stolarz nie mógłby nigdy patrzeć
spokojnie, że się nim własny syn wsty-
dzi.

Do tego kółka rary postrzeżt już,
pomiezaray i budawcy wzrost syna
któremu szekt na koniec.

— Mnie się zdaje, Gustawie, że ty
dajesz nam prawie co się podoba, a
sam co innego myślisz.

— Ja utawnie o was myślę, Kochani rodzice, odrzekł lekarz, jakby tu was najlepiej i najswobodniej umieścić.

— Tak tu miejsca dosyć, odrzekł stary z uśmiechem; masz tu przynajmniej z półtuzina pokojów nierazjetych, a dla nas pierwszy lepszy będzie dogodny.

— Jabyś dla was chętnie najpiękniejszy odstąpił, ~~ale~~ rzekł Stern okazyjąc na pozor wielką staranność, a w duszy czerwienił się za kłamstwo; tylko że tu jutro obropny będzie nielud: nowi nastana studecy, sporzęty się będą ustawiać tapicery, stolarze i Big wie sto, cały dom granują.

— Tem lepiej, zawołał stary z uśmiecha, — będzie mógł im pomagać. —

— A'łoby nie wypadato dla mego ojca, rzekł Stern.

— Prawda, masz stusność, drzecht stary,
ale goziet nas podziejesz?

— Tu nie daleko jest piethny potioj do
najecia, tak-ze będzicie blischo mnie.
Jutro sobie wyprochniecie; ja was odwie-
dze z moja naraczona, a jezeli wann
bratnie ubrania na weselę, ja promy-
sle, o wszystkoim.

— O! nie, mój synu, drzecht stary,
— wstawie twoja matka, przywiorta
z soba najpiethnijsza subnica, ote
cos jej dat zesitego roku - i ja tanke
przywiortem swoja subnase, nie-
dzielna, o! jezere dobra, nie stara,
i ani jednej plamy, niema.

— A! w dzien mojego wesela, mu-
sicie na czele waszego syna, od stop
do glow na nowo sie przybrać, zawo-
tat lekarz z stodyra; bo zwarzicie sami

jakbyście się wydawali wśród tak świe-
tego grona w waszym terazniejszym
ubiorze.

— Prawda, prawda, reszt poruczy
stary, marszuc brwi, otóż to, ja my-
slatam sobie: Tak to będzie pięknie,
gdy ludzie obacza ojca w takim
ubiorze obok swego syna i powiedzą:
Patrzcie, to ojciec tej młodej, i bogatej
pary, — i oni się nie wstydzą jego si-
wych włosów, ani starej matki, ani
jej sukni w świątę.

— O! Kochany ojcie, jakie można,
tak moje słowa tłamac?!

— E! Najmy temu pokój moje dziecko,
odrzucił starzec z stopy, ty znasz świat
lepiej jak my, i pewnie się tu nie my-
lisz. My zrobimy co skąd, najmniej
juz nam ten pokój, i przyszły smutek;
juz iż, nie chciałbyśmy ci wstępu narobić.

Stern różnemi sposobami usiłował,
 wyrzucić z głowy ojcu te myśli; mówił
 z zapamiętaniem i do przyzwyczajenia, o ludz-
 kich przesądach, i o swojem dla ro-
 dziców przywiązaniu. Matka najam-
 przed przysyłała mu „stusność”, ojciec
 poddał się także i znów powrócił
 do pochoj i weselności. Mówiono jeszcze
 o przyszłości, robiono plany, i ten
 czas zeszł. Stern odprowadził swo-
 ich przeciwnych starych, do nowego po-
 mieszczenia które najeto na półdnie i
 znajdował się sam na koniec. Leci-
 kiej i ~~pożyczeniu~~ zatwożonem
 sercem zaczął z wolna przewracać w
 księżde przyszłości - aż go sen opa-
 nował. -

V.

Rozalia postępowata odważnie przed-
sięwziętą drogą. Postanowiła zacząć nowy
bieg życia, w którym pomysłata z nie-
zmierną wytrwałością i nieustanną wo-
ła. Cena pomniejszenia dotychczasowego
ich, zaczęła przewyższać ich dochody; dla-
tego opuścili je bez wahania i przenieśli

się do nowego, stosowniejszego dla nich, które jeden z przyjaciół wyszukał, prostarawszy się wyprzed o czynszownika na dawne ich miejsce. Forstberg odwiedzał ich często w towarzystwie Sterna, z którym był ciągle w przyjacielni, i miał sposobność dowiedzieć się od Rozalii, o przychylnie ich oszczędności i zerwaniu ze Sternem. Rozalia gromiadała mu to ostatnie zimno, spokojnie, z taką pewnością i z takim parowaniem nad sobą, że Forstberg zwątpił na reszcie, czy ona kochata kiedy jego przyjaciela.

Dawał jej często do zrozumienia co ^{o tej mierze} myślał, ale ona odpowiadała z uśmiechem: — Dobrze, że się tak stało.

Wierzę mi Pan, Stern poszedł za popędem serca, zrobił co był powinien, a

ja jestem mu bardzo wdzięczna, że sobie tak ukraiwie, otwarcie ze mną postąpił, bo gdyby tylko jessek fałszywe punkty honoru oddał mi był, swojej rękę niezawodnie byłibyśmy bardzo nieszczęśliwymi oboje. A tak, niech go Bóg ma w swojej opiece! Prawdziwie on zasługuje być szczęśliwym; on wart aby go cały świat uznał i zaszczycał.

Forsberg oglądał na nią z zadziwieniem; nie pojmował takiego rozważenia i s taka rezygnacja, która też natchnęła go uczuciem głębokiego szacunku dla Rozalii. Jej postać była wtedy spokojna i uśmiechająca się, a w ciemnym oku błyszczał śluzetny zapłot. Forsberg, widząc ją taką, uważał jej rękę i rzekł: — Pani ma

stusznosc, Stern nie zastuguje na ten szarab, ktorego sie porzyt tak lekomyślnie.

— Mylisz sie Pan, odrzekta z żywością; rozważał on długo, i postąpił sobie jako człowiek z mocnym przekonaniem, że inaczej być nie może; a przekonanie jakichkolwiek zawsze potrzeba stanowić.

Forsberg uśmiechnął się tylko na ten ślachtetny zapach jej serca, i jeszcze mocniej uwierzył, że miłość Rozalii dla Sterna ostygła, gdy jej tak mało kosztowało zaniechać człowieka, którego tak namiętnie kochata. Uważając chwilę wydatne kształty Dziewicy, jej ślachtetne rysy i duże ciemne oko pełne ognia; postrzegł, że Róża-

lia, mniej piękna, ~~jak~~ jak Tydonia,
 ujmowata powabem daleko exarow-
 niejszym - powabem zachwycającego
 wdzięku, tego pastka Wenery, bez
 którego piękność w krótkie obojętnie-
 je. Tydonia była to światowa da-
 ma, młoda, pełna niespodzianych
 i uderzających zarcińków; rozpuste dzie-
 kło salonów, przebiegła i pewnością
 igrająca lekkim językiem wielkiego
 świata; stygnęła z uszrypliwości i
 dowcipu, umiejąc o wszystkim za-
 bawnie chociaż stośliwie rozprawiać.
 Rozalia miała głęboki i oświecony u-
 myśł; w sercu jej stowice była myśl,
 tryskająca z bogatego i ognistego serca.
 Było to zespolenie rozumu i exultacji,
 które się objawiało nawet w rzeczach

najobojętrzejszych. Ona żyła w świecie idealnym marzeń i wyobraźni; ale tym marzeniem wystarcznie się nie oddawała, nie tworzyła się niemi; przeciwnie tak umiała przyszybać wnie rzeczywistość, że się w jej oczach piękniejsza i pełna wdzięku stawała.

Początek Forsberg jak go coraz silniej porывała ta wspaniałość i godność, ta pogoda Duszy, tej drzewnej dziewicy. Póki Stern zajmował jej serce, nie zazdrościł mu nigdy, tej miłości, która wydawała się świetną, ale coraz zimną, jak lód. Teraz dopiero postrzegł; że pod tą śnieżną powłoką, kwitła rozkosznie wiosna; tlał zapal Duszy i serca; wrzała gorąca krew, które nawet żelazna wola z wielką hamowała trudnością;

Przychodzi i przychodzi bez ustan-
 ku, a każda razą tylko w nim po-
 dziwienie rości. Cudosi dziewicy i ta
 delikatna troskliwość o starego ojca,
 wzruszają go do głębi. Stary profes-
 sor bywał często ponury i drwiący,
 jak zwykle artysta, który przyszedł-
 szy do pewnego wieku, ratują lat
 upłynionych i narzekają na nie-
 wdzięczność ludzi. Rozalia umiała do-
 skonałe rozpraszać posępne te chmu-
 ry, co mu osiadały na czole; i w mia-
 re, jak powracały, ona wyprogada-
 ła swój humor, wywotywała tysiące
 powabnych marzeń, usuwając tym
 sposobem najmniejszą przysłuch myśl
 ojca. Dopiero gdy umysł utraconego

starca uspokoił się nieco; rysy dzie-
wicy rozpadły w poważną zadumę,
i drgały czasami gwałtowniejszym usito-
waniem, choć ~~stwierdził~~ ^{uściwił} te bólesie w
niej wrzata.

Torsberg nie wahał się jej przer-
zywać. Wzrost dziewczyny malował ra-
zem proźbę i rozrach, i zdawał się
go ostrzegać, aby nie tyłkat pitocho sijn-
tej boleści: Dla tego wolał raczej rozry-
wać ją opowiadaniem nowinek codzien-
nych, pomieszanym tysiącem zabaw-
nych wypadków. Opowiadał dostko-
nale i potrafił uspokajać tym sposo-
bem słuchającą go Rozalia. Rozmo-
wa przybierała wolną obrót szerszej-
szy, i z poziomu pogadanek codziennych
wznosiła się do wyższego stanowiska.

Ona pokazywała mu swoje próby,
swoje robotki kunsztu; profesor je
garit, Forsberg chwalił; mówiono
o sztuce i umiejętności; dobywano
książki z biblioteczki; wybierano mi-
strzowskie dzieła poctow, które Ro-
zalia słodkim i natchnionym głosem
czytała. Wszystko ^{to} sprawiło zamianę
myśli, i żywe robilo wrażenie na
intodym umyśle mężczyzny. Użut, że
towarzystwo tej dziewczyny wznosiło go
coraz bardziej; życie jaśniało mu obład
ślachetnym zapalem, i żywo zajmować
się zaczął ² nawet ¹ tem, co dawniej bopy-
chał lub w śmiech obracał.

Wdato mu się także nowe dla
nich wyszukać pomieszkanie o bardzo

mierniej cenie. Był to maly domek; szcze-
 gólnie podobat się Rozalii; oddzielony od in-
 nych budynków leżał u wniejsia do ogro-
 du i tylko od nich miał być zamieszka-
 nym. Pokoje nowo przyozdobione oświet-
 lłowy, liść winogrodu ciągnącego się wzdłuż
 facyaty; a wiatr tylnie szumiał proga-
 trzich starych lip, i wiezow zasadzonych
 spodem, w otugie rzędy, siwawe i fanta-
 styczne. Rozalia zapomniała, że zbliżają-
 ca się zima miała być otuga, smutna
 i samotna w tem miejscu; myślała
 tylko o wiosnie mającej, umać ogród
 zielenią i kwiatem; a strona tylna
 jej, serca znajdowała dla siebie dobro-
 czynną karmę w sprzeczności para-
 jacej, międy wnętrzem tak spokojnem,
 tak miernem tych, świeżych i samotnych

komnat i między tą powłoką posępna,
co przystania przyrode, s koncem jesie-
ni i zapowiada coraz wyraźniej zbliżanie
się zimy.

Rozalia nie wiedziała o tem, że Fors-
berg był w przyjaźni z właścicielem ich
pomieszkania. Nie wiedziała także, że
Forsberg wyrobił u swego przyjaciela i
zniknięcie ceny czynszu i zostawienie
nowym czynszownikom niektórych przy-
tów i rozmaitych przyborów czyniących
bardzo przyjemnem to pomieszkanie.

Slachetna Duma Rozalii nie przyjęłaby
była wprost żadnych przysług, chociaż ta-
kowe Forsbergowi przyjętego majątku,
wcale nie były trudne; on miał cencie
równie delikatne jak jego przyjaciółka,
i pojął od razu, że podobniem postępowa-

niem zerwałby na zawsze stosunek mający Dłani tyle wdzięku.

Jednakże czynił co mógł, ale zawsze z największą ostrożnością. Wiedząc nie raz, że tyle niewinnych uciek, co się przychylnie do szczęścia młodej Dżiwicy w jej samotności, on był tajemnym powodem; doznawał czystej i niewymownej rozkoszy. Stary profesor lubował w pięknych kolorach Nitku Kobierców rozścielonych dla ozdoby w pokojach, gdzie je właściciel rozstawił z grzeszności, równie jak wyborny fortepian dla Rozalii z prośbą używania go; gdyż, jak mówił, nie miał go gdzie umieścić.

Nowe to mieszkanie przybrano w krótkie jeszcze powabniej i z wyszukaną prostotą. Najmniejsze miejsce było

tam tak wygodne, tak dobrze przyrządzo-
 ne; wszędzie panował wódzisk tak dobro-
 czynny i tak miły spokój, że Forsberg,
 zachwycony, nie mógł się wstrzymać od
 pochwał dla dobrego smaku Rozalii,
 panującego w całym urządzeniu. Ro-
 zalia uśmiechała się tylko, wzięta go za
 rękę i zaprowadziła przed nowe swoje
 dzieło, piękny niewielki obraz olejny do-
 pierco ułożony. Wystawiał tenże sam
 dom z wielkim ogrodem; w nim kilka
 malw ciemnoczerwonych, i promieniste
 astry na pochylonych toczkach, rozsiane
 pomiędzy drzewa i obnażone krzewy.
 Zachodzące słońce ostatnim blaskiem promie-
 niem na bladym i zimnym niebie je-
 sieni; oświetlało dwie młode osoby sto-
 jących przed drzwiami domu i trzyma-

jących się za ręce. Za nimi starzec z
 włosami posrebrzanym, w zadumie
 wzniosł oczy ku niebu za gwiazdą na
 dziś, co z wolna i samotnie wstawata
 z cienia nocy. W jednej z dwójki posta-
 ci z Tatwosią rozexnat Forsberg swój
 obraz, a w drugiej obraz młodej mistrzy-
 ni; na ten widok żywa radość pełna
 upojenia zabłysła mu w oku. Przypo-
 mniał sobie że to on zniwołił ją do roz-
 wijania tego pięknego talentu odradza-
 jąc jej, dawać lekcje muzyki, co mu
 się przykreń i niernościem zdawa-
 ło. Pomysłny skutek sprzedażi mniej-
 szych obrazów jej ręki, które on por-
 kupował przez innych; zagłuszył kry-
 tykę i opór starego profesora. On się u-
 stawicznie i z zaciętością córce sprze-

119

ciwiat, chciał ją koniecznie odwrócić od tego powrotania, mówiąc, że ludzie są najniewdużniejsi dla sztuki i jej mistrzów - a czego ^{on} sam jest najoczywistszym przykładem.

Torsberg przez zapomnienie powhycił z żywością rękę Rozalii i przycisnął ją z drżeniem do serca, rzekł:

- Ten obraz musi być moim, ~~on~~ jakby przeznaczony dla mnie - szkoda puścić go w cudze ręce.

- Właśnie przeznaczam go dla Pana, odrzekła z uśmiechem Rozalia. Tak, mój przyjacielu, jeżeli kiedyś po długich latach pomysłisz o chwilach upłynionych, które dla mnie zostaną zawsze drogiemi, to malowidło, spodziewam się, może mi przypomnieć Rozalię.

Torsberg chciał coś odpowiedzieć, mo-

że nawet wyrzec słowo stanowcze, blysz-
czące już w mokreńm oku, drzące na
otwartych ustach; lecz naraz spuścił
wzrok tęskny i tylko ręką po czole po-
sunął.

Rozalia uwarając to wzięła go za
rękę i wyszła do ogrodu. Wieczór zachod-
ził jasno i błękitno, siejąc po niebie
gwiazdy, których iskierzy blask młotem
i tagońm światłem umilał ciszę
ogrodu.

— Pan czegoś zmartwiony, rzekła
s cicha, zdaje się jakbyś coś chciał u-
krywać przedemną.

— Nic, wcale, zarezam Pani.

— Może ja i wiem o tem, odrzekła.
Nagle Pana miłozenie przyjmują. Jego
ślachetna dusza, czuje, jak zabotała
dla mnie, chociaż, ja sama żadnej
nie doznaję boleści. Dzisiaj dzień słu-

bu Sterna, wiem o tem. Moxe wtaśnie,
 gdy my tutaj samotni, gdy moja re-
 ka w twojej; siedzi za świetnym sto-
 lem, albo tuli w objęciu rokoszna,
 kibic Sydonii i spijsz stodych i po-
 cationków jej ust. Tak - zdaje mi się
 nawet, że słyszę ich szeptańca miłos-
 ne - te gwiazdy zdają się je powtarzać!
 Ale jam spokojna, mój przyjacielu,
 mój puls mocniej nie bije, w sercu cisza,
 głęboka cisza, spokój z Bogiem z ludźmi
 i z sobą samą.

Podobna rezygnacja i cisza jakby gro-
 bowa - czy to prawdziwy pokój duszy?
 Zapisał Forsberg. Możnaż bezkarnie po-
 zbyć się słabości natury ludzkiej, nade-
 wszystko słabości tak mitej w obrażo-
 nej niewieście? Wolałbym, Rozalio,
 widzieć cię ptaczącą tak długo, aż by się

nie wysilita namiętność i z tona tego
wysilenia nowa nie zabłysła nadzieja.

— Nie rozumiesz mię, mój przyja-
cielu, odpowiedziała, — i ja cierpię, i
moje serce szuka we tkaich pociechi,
a zmocnione nowej nabiera otuchy.
Tak — trzy uspokajają mnie, pocieszają
i świeżą — prują, nadszają — są one dla
mnie strumieniem, co leje nową i
dziwną siłę do serca. Cisza, której ja
używam, nie jest to cisza grobowa, ona
spoczywa wyżej i wylatuje poza nie-
biosa, gwiazdy i samą przyszłość. —
A teraz, czy mię rozumiesz?

— Podziwiam, odrzekł półgłosem.

— Dość zimne słowo, odrzekła Rosa-
lia. — Słuchaj mój przyjacielu: Dwa
są siriaty; w jednym panuje miłość
lub nienawiść według tego jak nami

kieruje gorąca krew i namiętność, w
 którym przypadku stajemy się pastwą
 wszystkich dziwactw losu. Drugi świat
 dopiero się nam w ten czas otwiera, gdy-
 śmy stoczyli dzielną walkę z samymi
 sobą, a serce natchnięte wielkiem i głę-
 bokiern uczuciem pojednania się sko-
 niecznością przetrwania panującego
 ludzkości. Tego Nole i mnie zranity,
 i niechybnie jeszcze nie jedna boleść mię-
 czełka, równie jak roztwór niejedna.
 Nie wstydzam się na cierpienia, bo
 to los ogólny, ogólne przyznawanie nas
 wszystkim. Jestem wyjsza nad to, co
 mię dotyka, bo wiem że mija jak
 czas, którego my dziećmi. Żyję na-
 dzieją, żyję wiarą, i w sobie szukam
 ochrony przeciw słabości, naszemu grzechowi

pierworodnemu.

— Rozalio! czy Kochataś ty Sterna?
zapuścił Forsberg, z pewnym odrazem
obawy.

— O! — czerkita i głos jej zadrział, — Ko-
chataś namierzone, Kochataś ile tyl-
ko może Kochać me serce!...

— A toż uwuicie, Rozalio, co ty stabo-
ścią nazywasz — nie dotykaś cię onob-
leśnie w tej uroczystej chwili?

W milczeniu podnięta zwolna ocy-
kła niebu; potem rzucając wzrokiem
niewymownej tęsknoty na młodego mi-
czyrę, rzekła podając mu rękę:

— Dobranoc, mój przyjacielu, już
późno, a ja mam jeszcze dużo do wy-
nienienia.

Odeszła śpiesznie, a Forsberg, roz-
ogniony i jakby nieprzytomny stugo jeszcze

Stat na t^{em} sam^{ym} miejs^{cu}. W krótkie
zabrzmiał mity odgłos muzyki. Były
to nieśmiertelne, szarujące skargi Betho-
wena, najsłodszy wyraz duszy, która
się gubi w wątpliwościach i bólesci, a
mucując ziemską powłokę, promieniście,
wzlatuje ku niebu! ... Dwie potęgi
walczyły w sercu młodego mężczyzny:
gwałtowny pociąg ku tej pięknej, dwo-
nej istocie, i tajemna obawa jej siły
nadnaturalnej.

Tak zagłębiony w siebie, w kilka
chwil obaczył profesora, którego przecho-
dził kółko niego i niepostrzeżony go,
wszedł do domu. Dzwieki fortepianu
ucięły; Forsberg wrócił do siebie, gwał-
townie połączony w zadumie. Długo jeszcze w
noc czuwał. —

VI.

Wesele Sterna minęło. Używał w całej obfitości szerszycia w posiadaniu tak pięknej i kochającej kobiety. Jego rodzice nie narobili mu wiele kłopotu, nawet mniej jak się spodziewał. Stary Stern postępował sobie z wielką roztropnością; ni on, ni jego powciwa potowica wielkiego nie zrobili wrażenia,

tylko młoda para była wiele niespokojną i potajemnie bardzo utyskiwata. Na starych spoglądano ciekawie, a kilka stów ^{mi} kiedyś odważyli odzwac, wzburzito usmiech niebardzo przyjazny. Do tego jeszcze poszeptowano tu i owdzie, tak że doktorowi zdawato się ciągle słyszeć jakies' złosliwe uwagi o rodzicach. Rumienit się ustawicznie ze wstygu i gniewu; aprzeciż nie miał tyle odwagi, uxić publicznie swoich rodziców przystojną i stachetną otwartością.

Sydonia ~~wtedy~~ dzień przed tem, wiele ofiarowywata dobroci, i z usilnością odpiczata tłumaczenia narzezonego. Zapewniata go, że estowicki proceiwcy, chociaż w stroju prostackim, ma więcej znaczenia w jej oczach, jak wszystkie postrojone głupszy. Rodzice męża miaty być zawsze drogiemi jej powinowatymi, których każdy szanowac' powinien. Dżis jednak w posród swietnego

grona, zupełnie była pomieszana. Skoro tylko przesiadła wzięła rozmowę ze starszym Sternem, a ten z prostotą naiwną opowiadał jej pozął o swoim sposobie życia, o swoich zatrudnieniach, wyzajach; Sydonia, spotykając jeszcze co chwila sztyderski wzrost starej ciotki, ognistym spłonęła rumieńcem. Dopiero z koncem uixty ustal ten niepothój, a pierwsze dni sprtywające w uprojeniu szersia nadszernościwego, nie mogły zostawić miejsca nikczemnym lub przytknym uxiuom.

Sydonia była dla rodziców męża z wielką delikotnością, jednakże z pewnym odzieniem wyniosłości. W jej oku można było łatwo postrzeć niepothój, coraz bardziej się wymagający; skoro poxcioyeh tych ludzi zastaty jakie odwiedziny, albo gdy się znajdowali na zabawach wieczor-

nych, dawanych różnemi czasy między fa-
milią.

Ze Sternem rzekł się miała inaczej.
Tydonia uważała bytność rodziców mę-
żowstkich podczas wesela jako złe ko-
nieczne. Było w tem nieco uczucia śla-
chetnego, ale może i cokolwiek ukrytej próż-
ności, przez którą mniemata okazać się
wyższą nad nikczemne przesady; chociaż
jej wychowanie również jak wrażenia
namiętne, którym dawała się powodo-
wać, w krótkie pierwsze jej postanowie-
nia zachwiały i powoli zniszczyły. Sto-
sunek taki bliski s tymi ubogimi i pro-
stemi ludzmi, stawał się coraz nieczno-
niejszym dla niej i codziem jej odrza-
nie powiększał.

Stern przeciwnie, chociaż rostargnio-
ny s początku i fałszywem rriotarym uczu-

ciem; zaraz przy kilku sposobnościach postrzegł, że wiele bardzo szanownych osób podziwiałoby jego szczerość, z jaką odważnie wyplacał się rodzicom z najświeższych względem nich obowiązków, i z dumą pozbywał się próżności tu wcale niestosownej. W obszernym u siebie pomieszkaniu, przyznaczył rodzicom pokój, bardzo porządny; sam był dla nich najskłótszym synem i wyłanym w każdej okoliczności; usilnie i przychilnością, coraz większą^{się} starał, aby wszyscy za jego przykładem mieli ich w poszanowaniu, nie postrzegając bynajmniej, ile to kosztowało Sydonii, pomagać mu w okazywaniu rodzicom miłości synowskiej; aż nakoniec we dwa tygodni jednego poranku, gdy oboje

zabawiali się w najczulszej poufalsości; przyszło do otwartego tlomaczenia się w tym względzie. Rozmawiając drugi czas o zabawach zimowych, o towarzystwach, strojach, pożyciu domowem i o tyśiącznych rzeczach, Tydonia za-pytata nagle męża, kiedy mają od-jechać rodzice.

— Czyż ty chcesz, moje serce, żeby odjechali? odrzekł lekarz z uśmiechem.

— Ja — nie — ale — zdaje mi się, rzekła wpadając w ton pieszczotliwy,

— Na przyszły tydzień unas bal, i pewnie zapotrzebujemy wszystkich protekto-
w.

A potem, mówiąc szczerze, Gustawie, ty sam pojmujesz, że twoi protekto-
rowi rodzice nie są do naszych towarzystw, ^{oni} do nawre-
go sposobu życia nieprzyzwyczajeni, nie-

zawodnie tętnią za swoim.

To oświadczenie ukryto na Sternie
Bolesne wrażenie.

— A więc dla balu będę musiał
rodziców naglić do odjazdu!

— Wszak, czy prędzej, czy później, to
zawoże musi nastąpić. Za tego nie
wymagam; ależ-swiat - oholiznośa
... Twój rodzice są wyborni, ależ...
moją Kochany, Gustawie, ty mię rozu-
miesz, nieprawdaż? Wszak to nie podo-
biciństwo, ażeby ukształcony umysł do
ich się pojęcia stosował.

— A gdyby moi rodzice zechcieli tu
na zawoże pozostać? zapytał Stern.

Sydonia szczerwieniata.

— Spodziewam się, odrzekła z żywo-
ścią, że ty jasno pojmujesz, iż to być
nie może.

— Tak jest, pojmuję jasno, że ci się gmylił, odrzekł Stern z goryczą; ale dopóki moi rodzice u mnie zechcą zabawić, ten dom do nich należy.

— Kiedy tak, odrzekła Sydonia powstając z gniewem — to się jeszcze nie raz omylił. Bo nie ostryjniejszego potug mnie, jak podać się na posmieństwo.

Jeszcze chwila odchodząc, gdy drzwi na pół odchyłone w boczny pokój otworzyły się i nagle stary Stern wszedł.

— Proszę moja synowo, zostani chwilkę. Przychodzę ci oznajmić, że nam czas, i musimy powracać do siebie; moja stara już się wybiera. Dla tego pożegnajmy się przedtem, bo tam na przedmieściu furą nas czeka i ma zaraz odjechać.

Sydonia stanęła jak wryta, przed
poczuwonym staruszkiem, którego twar-
dą swą ręką ujął jej delikatną i
białą, a drugą podał synowi.

— Moje dzieci, niechaj nigdy stane
na wasz gniew nie zachodzi — a ty mój
synu, natychmiast uściśnij żonę.

— Chcesz mnie ukarać, ojczym, za
to coś słyszał dopiero, zawołata Sydo-
nia zmieszana i ze spuszczeniem oczu
ma.

— Ja nie nie słyszałem, odrzekł
stary uśmiewając ją wprost — wiem tyl-
ko, że moja synowa ma wspaniałe
i wyborne serce.

Sydonia rzuciła się w objęcia męża
i nastąpiło ciche choć nieme pogodzenie.

Po odjeździe rodziców Sterna, był
bal, świetne ucztę szybko następowaty

jedne po drugich, i tak przeszedła pierwo-
 sza chmura na widokrege matczyński.
 Sydonia swoją piśtnością, zupełnie
 meża podbita; ustępowat najdziwacz-
 niejzym częstokroć jej rządaniom i
 prozborom; ale zawrze z bolesném uty-
 skiwaniem w duszy. Prosty i skrom-
 ny z urodzenia; wychowaniem i do-
 świadczaniem przykrych kolei losu,
 przyzwyczajony do rozsądnej oszczędno-
 ści, z wielu względów, nie mógł być
 przyjacielem wielkich towarzystw.
 Lekkość tych zabaw mało zgwałzała
 się s powagą jego charakteru; utrze-
 niu jego umyśtu byto wcale nie do
 byszczenia w towarzystwie; dla tego
 też uważał za ułżenie godności dok-
 torskiej, starać się o przymioty cztowienia

światowego lub modnego. Praktyka coraz
 wkrastająca zatrudniony, bez ustanku
 od rana do wieczora; pozostałe chwile
 odpooczynku wolalby, był przeje-
 dzie w miłym i spokojnym zaciszu
 domowym, przy boru utrockanej mat-
 żonki, w gronie szczerych i dobra-
 nych przyjaciół; ale wyobrażenia
 Sydonii były zupełnie przeciwne i
 Stern wdział się być amuszonym
 jej żądaniom przyzwalać. Bo i ja-
 kiemże prawem, osobę młoda, pię-
 kna i chciwa, zabaw, która wszyst-
 kie jej skłonności pociągaty do u-
 ciech towarzyskich; mógł zniewolić do
 bawienia się z nim samotną i do ushy-
 lania się od zaproszin. Czut on to do-
 brze, że Sydonii wypadato nagrodzić
 cate dni spędzone w samotności, pod-

czas gdy on oddalony żył swojemu powołaniu,
 i tak nie tylko dzień, miesiąc, ale lata
 i całe życie miał przebyć. Przysro mu
 było nie widzieć w niej skłonności do
 życia domowego; lecz i w tem ją tlu-
 maczył. Sydonia wychowana w roztoscy,
 i w prośód zabaw sztykowanych; rozryw-
 ki i zaspokojenie wszelkiego zachcenia, u-
 ważala za najpierwszy warunek szczę-
 ścia. I niewolic ją do zaniechania spo-
 sobu życia, którego dobrowolnie nie
 myślala zrobić ofiary; bytoby z jego
 strony okrutności. Jedna tylko rzecz
 martwila go nie pomalu, t.j. że sama
 nie wiedziata co robita. U niej byto wca-
 le naturalniem to co mu niejedną tajną
 sprawiata zgryzotę; nawet nieraz go po-
 tajjata, jeżeli czasami spojnit się zamo-

wadzić ją na zabawę; lub gdy go docho-
rego wezwano w chwili tak dla niej
ważnej. Byłoby jej daleko przyjemniej,
gdyby mąż w podobnym zdarzeniu, dla
wieczi żony, zaniedbał był swoje pro-
winność; ale doktor był nie wzruszo-
ny ~~w~~ w tym względzie i po jednem zaj-
ściu na prawdę oświadczył jej, dość
dobitnie, że dalej nie chce słuchać po-
dobnych wymówek - prócz Sydonia
nie śmiała się już więcej napomy-
szyć.

Druga przyrzyna tajemnej niechę-
ci, były wielkie wydatki, jakie wy-
magata wystawność ich domu i bez-
ne zabawy; prócz tego metoda kobieta
lubita sztyt, chiac również i przepy-
chem stroju jak blaskiem dowcipu

wzbudzić zazdrość i podziwienie. W domu rodzicielskim nawysita była bogactwem, i nie pozbyta się tej ządzy, pojęcia się roztosza, próżności, która jest wszystkich zyczeń ogniskiem tyłu kobiet.

To właśnie gubiło i tajnego radcę, jej ojca, nie licząc już roztoszone zycie które lubił. Pomimo wysokich dochodów zaciągnął on jeszcze znaczne długie, tak, że Sydonia nie miała nawet odpowiedniego posagu, co by mógł być pokryć koszt jej strojów. Dochody Kłema były wprawdzie nie małe, ale postrzegał co raz więcej, chociaż z obawą w duszy, że nie wystarczały na wszystkie wydatki. Ciemne chmury szły mu czło, gdy przyszło obierać jeden po drugim rachunki.

Sydonii, po największej części za rzeczy zbyt-
 kowane, które jako niepotrzebne marnotraw-
 stwo nie mógł żadną miarą pochwalać.

Alle te chimery, na czele rozjaśnitym
 krótkie próżby, i pocatunki Sydonii. Ho-
 chat on to dziecie ładne, obłeśne, co sta-
 kim wdziękiem i naiwnością śmiałto się
 z jego lekkich wyznówek, a na wzmiar-
 kę wysokiej ceny jakiego stroiku, opo-
 wiadało s takim zadowoleniem, ile to
 on przydał ~~prze~~ piękności, ile wykrył-
 ników zardrosi wywołał.

Stern liczył jeszcze na porę, która
 miała ukazać żonie pod inną postacią,
 życie. Z wielką niecierpliwością oczekiwał
 końca zimy. W ten czas mnóstwo miało
 powstawać zabaw, jak te nienawidzone
 wieczory; a nade wszystko bale, którym
 Sydonia, piękna i zapalona tancer-
 nica, oddawała się s taką rozkoszą i uniesie-

niem. Ale zima minęła i znowu imie nastąpiły rozrywki. Powiały doktor lubiący nadzwyczajnie porządki, niezmiernie się zdziwił, widząc, że żona tak mało dba o gospodarstwo wewnętrzne. Do tego dołożył jeszcze niektóre oszukiwania Stug, czy nit jej za nie wyrzuty, a ona odpowiadała w przytych wyrazach, oświadczając bez ogródek mężowi, że nie myśli ubiegać się za stawa, dobrej gospodyni. Z gorzka, wystawiał jej Stern, co to za nierozum roztrwaniac życie na zabawę i tańce, a z lekkomyślności istotne robic powołanie.

Po taki żywawej utarce, oddał się radca medyczny, a Sydonia poszła sptem szukać pocieszenia i opieki u rodziców, gdzie właśnie była przesiewa na ten czas. Tajny radca zachmurzył czoto i

mówił ogólnie o szybieniu obojga; ale matka z żywością uscisnęła Sydonia, ściskając winę na grubianstwo męża. — Bo i jakże matka w podobnych okolicznościach nie przyzna „słusność” córce?...

— A widział, ma chère, rzekła przesowa, gdybyś była wstuchata mojej radcy, byłabyś teraz szczęśliwą za Forstlergem. Ten Stern, co nie zna wcale pięknych manierów, co niema ani edukaції ani habitu de monde, musiał cię niieszczęśliwą uczynić. Onby był s ciebie kontent, gdybyś sama była kucharką, albo ze siostrą i miotelną w ręku biegata po pokojach, a w wieczór siadła przy nim robić ponizochy, i do północy słuchata jego historyj o chorych.

Sydonia, jakkolwiek zmartwiona,

musiała zaśmiać się na ten obraz dzi-
ważny, poczem rzekła z wstęchnie-
niem:

— Chociaż jeszcze nie przyszło do
tego, ale tu wiele jest prawdy. Żona le-
karza jest prawdziwie pożałowania go-
dna. Stern, jak cały dzień, u chorych;
gdy wróci, jest zmęczonym i w złym
humorze. Widzę ja, z jaką niechęcią on
wstępuje moim żądaniom; onby, wolął
wypoczywać w swojej kancelaryi i pa-
lić fajkę, której mu nie pozwalałam w
moich pokojach; czytać — ~~nie~~
trawic' czas na pogadanie ze mną i
s kilku nudnymi przyjaciółmi; — to lubi;
ale pojs' gdzie między towarzystwo; a
to, nudne — ptaszkie — nieznośne! I ja-
kież moja przyszłość? Kochana mamó!
Mamże tak swą młodość poświęcić?

Ach! teraz dopiero widzę, jakem nieroz-
 sądnie zrobiła. Stern taki śniący, zatu-
 je mi wszystkiego, rachuje najniższy
 wydatek. Jego wychowanie, dawniejszy
 niedostatek, przyzwyczaiły go do pojedyn-
 czowi we wszystkim, czego ja nie na-
 widzę. Zdaje mi się nawet, jakby mi chciał
 przekonać, że, dla zdrowia potrzeba jeść
 najprostsze i najgrubsze potrawy, przestać
 na jednym półmisku, i cały rok nie od-
 mienić sukni.

Właśnie gdy to mówiła, wszedł Stern.
 Na widok spróżnego i pewnego wejrze-
 nia męża, Sydonia pomieszana, tylko
 oczy spuściła.

— Bardzo mi przykro, odezwał się Stern,
 że za powierników lekkich nieporozu-
 mień domowych, obrataw obcych; choćby
 nawet i najukochańszych rodziców. Mat-

żenstwo jest to węzeł tak delikatny, tak elektryczny, dwójga serc, że i najmniejsze dotknięcie obcej ręki bolesnie uczuć się daje.

— To ma minę bardzo filizoficzno-sentymentalną, rzekta przesowa z złotym uśmiechem — lepiej było nie dawać mojej siostrzennicy powodu zmartwienia i wżalania się.

— Hornuż-to, jeżeli nie matce, oderwata się Pinzerowa z żywosią, — ma powierzyć swoje dolegliwości. Czy i za to będziesz wżnić wyrzuty memu dziecku?

— W istocie, Hochany Sternie, dodał tajny radzia, wahając się między nieukontentowaniem a chęcią zgody, — poszedł za daleko — zanadto od Sydonii wy magał.

Doctor spojrzal tylko po wżystkich

spokośnie, podał rękę Łonie, dodając:

— Muszę odejść Sydonio, nie chcesz mi towarzyszyć?

— To impertynent, reszta przesowa rzućliwie — spodziewam się, moją Dziecie, że ty zostaniesz.

— Zostan' i ty Sternie, zawotał tajny radca, porozumiejmy się bez goryczy.

— Dobrze, ojcie, odrzekł Stern, - ale o moim stosunku z Sydonią ani słowa. Tęby się znalazło, rozdzierać najświętsze węzły serc. Ja się nie wiałam na nie i nigdy się wiałac nie będę. Niech tylko Sydonia zapyta się sumienia, czy ja w istocie jestem tym kłamcą i zgrzytliwym, jak powiada? a z resztą porozumiemy się łatwo między sobą, i niepotrzeba będzie

ani śledztwa, ani urzędowego pośrednictwa, ani wyłożenia sprawy, przed trybunatem rodziców, zawsze mniej więcej przyjaznych. — Tydonio, ja odchodzę — i proszę s sobą.

Młoda niewiasta stała chwilkę niepewna; lecz miłość odniosła zwycięstwo. Przybiegła do Sterna i rzuciła się mu w objęcia.

— Ty mnie zapoznajesz, rzekła, twoje wyrzuty są niesprawiedliwe — patrz ja chętnie s tobą idę; ale bądź dobrym, bądź probierzającym dla mnie; mnie tego potrzeba, teraz może więcej jak kiedy — o tobie wypadła mi oszczędzać — z dwójakiego powodu. —

Wymawiając te słowa, doznata całej gwałtowności przyszłego uczucia,

i objawowy z żywocią szypł, miała, twarz ukryta na jego piersi.

— O moja droga Tydonio! zawołał Stern pełen stoickiego przecucia — wszak ja tylko szczęścia twójego pragnę. Bądźmy zawsze razem — idźmy w zgodzie po drodze życia.

Ta chwila uniesienia, zniszczyła najmniejszy ślad żalu; przesowa nawet zdawała się być zwojżzona, i wszyscy rozeszli się w najlepszej zgodzie.

Nadzieja zostania ojcem otworzyła w sercu Sterna niewyczerpane źródło miłości i tkliwej troskliwości. Wszystkie prośby, wszystkie żądania żony, zarpo-kajad na tykmiast, i ta ciągła obecność wzruszała tkliwe jej serce; w takich też chwilach wyznawata otwarcie, ze skargi Sterna były po czejci stusine; postanawiała działać w jego myśli i

słuchata go zawiśle, z najlepszą chęcią
 przyszłość, gdy jej opisywał szczegóły
 domowego życia, wprowadził Stęgo i pe-
 dantycznie jak mówiła; lub gdy jej
 wystawiał potrzebę oszczędzania się co-
 ściolwiek w niektórych rzeczach, na
 co dobrowolnie przystata. Nie ukry-
 wał przed nią, że wydatki przewyż-
 szają do tychczas dochody, że ^{ich} proto-
 nie pieniężne nie najlepsze, które
 tylko rozsądna oszczędność jest w stanie
 poprawić - i prosił ją nakoniec jak
 najzupełniej, czy nie mogłaby go wspierać
 w tem przedsięwzięciu?

Sydonia przyrzekata wszystko,
 ale w kilka dni wszystko zapo-
 minata.

²
 Lina minęła. Zabawy, przeciw któ-
 rym sprawił Stern na daremnie, in-
 nym ustąpiły miejsca. Małe przejaźni-
 ści, mieszkanie na wsi, towarzystwa,
 nie umiężdaty wydatków; a lekarz pod-
 dawał się losowi w ustawicznym oze-
 kowaniu, że jako przyjazna chwila,
 może szalony humor żony odmienić.
 Tej star nadziei, zdawał mu się tę chwi-
 lę coraz więcej przybliżać; wosytkoza-
 sadzał na przyszłym dziecięciu; ono
 miało najprzewiej oderwać Sydonia
 od haucznych zabaw, światowych; ono
 miało w niej wzbudzić czuła troskli-
 wość mlodej matki, powołanej wpa-
 trywać się w dzieci przy jej sercu pro-
 czywa, jak w obraz najświetniejszej
 sławności i zabudach najpiękniejszej przyszłości. -

Dalej przebiegał wszystkie dawniejsze zdarzenia, i bolewał sam nad sobą, wzdychał i rozmyślał z gorzkiem nad lekkością żony; Czasami po całych godzinach dumał, zastanawiając się nad upłynionem życiem. Przeczywiłe potężenie i obraz Rozalii stawały ^{mu} przed oczyma, tak że tylko gwałtowniem usiłowaniem potrafił odrywać się od tych marzeń. Jednakże przyszłość nie była dlań jeszcze zapadła, miał nadzieję; dla tego z nową odwagą ~~znowu~~ rzucił przywalający go ciężar i oszczędzał, spokojnie co zdurzył los; a tym czasem usuwał się codziennie więcej od hańbnych towarzystw, które tak polubiła Tydonia.

Będąc z resztą dosyć pobłażającym, chciał przecież w jednej rzeczy na swo-

jem postawić; dla tego korzystat z każdej chwili
 li wzajemnego wynurzenia się, i przygo-
 wywał sobie. —

Nie mu się nie wydawało tak prze-
 ciwną naturze, jak widok matki, któ-
 ra przeznaczona od przyrodzenia, karmić
 własne dzieci, śmie poświęcać naj-
 wznioślejsze prawa stworcy, oddając w
 obie ręce najkosztowniejszy swój skarb,
 i wydzierając z serca miłość matczy-
 ną, jemu urodzoną. Matkę zastępować
~~nie~~ matka, dla tego tylko, ażeby u-
 wolniwszy się od starań i najświęt-
 szych obowiązków niewiasty, służić świe-
 że i piękne lice zachować; byto to
 w jego oczach próżnością okrutną i
 zbrodniarza, jaka mogło xrodzić tylko
 nowszych czasów rozpucie.

Do tych powodów tyczyły się jeszcze inne wcale różne. Stern będąc lekarzem, wiedział dobrze, jak wielką odpowiedzialność wklada wybór tej zastępczyni matki. Takowa należy zwykle do ludzi niższego rzędu i ma sposobność ~~z~~ wywierac' zgubny wpływ na dzieci, które karmi, częstokroć nawet dość długo; dla tego obawiał się nie pomatu ztych kuthów, jakie niedbatość lub kilka chciwość matki, na budowę lub zdrowie dziecka mieć mogła; tem bardziej, będąc przekonanym, że Sydonia otoczona zabawami, nie omieszkła zaprawne, uwolnić się od wszelkiego nadzoru; przytém i stan pieriężny wkladał nań surową oszczędność.

S początku Sydonia wsmichata się

tylko na prośbę moją, czasami nawet
pojmować zdawata się, ważność jego
powodów; ale czém ta chwila bliższa,
tém dotkliwszemi sławaty się zarzuty
Tydonii.

— Widać, tysiące dzieci, mówią,
jak są zdrowe i silne chociaż wykar-
mione od mamiek. Dla tego wierzą
mi, że mi się, dość śmieszno wy-
daje, po tylu przykładach, stysieć czo-
wieka urozonego mówiącego podobnie.
Każda matka uwalnia się, skoro tyl-
ko może od tych okropnych tru-
dów, tych nocy bezsennych, tych kry-
ków wiecznych i tysięcy innych
przykrości, jakie małe dzieci spra-
wiają; a tybys' chciał być tak chrut-
nym i na imię to wymódz, co czo-
wiek najprostszj chętnie pozwala swej żonie?

Teżeliż te powody u Ciebie nie znaczą,
 czerkiet Stern z głębokim smutkiem,
 dowiedz-że się na koniec; że ja majątku
 nie posiadam, a teraz nawet ~~nie mam~~
~~jestem~~ mniej mam niż kiedykolwiek. Przy-
 tem, daleko jestem nieuczestliwym teraz,
 aniżeli dawniej; gdym samotny i nie-
 znany piechota przebiegał ulice, i nierzadko
 za lichy grosz się żywił. Nic miałem w
 prawdzie nie w tenzas, ale za to przy-
 najmniej było mi lekko na sercu, bo
 nie było długów. Twoja namiętna
 chęć zabaw i marnotrawstwo wszelkie-
 go rodzaju, udaremniły moje stara-
 nia. Nadto bytem słabym dla Ciebie,
 z miłością tylko zasprośiajatem wszyst-
 kie twoje ządania, pragnąc jedynie,
 uszyćć cię szczęśliwą. A teraz Tyo-

nie, błagam cię na Kolanach, zaklinam
cię - chciej uznać słuszność mego za-
dania, pamiętaj że cała nasza przyszłość
i szczęście jedynie od jego wykonania
zawisło.

Wymawiając te słowa, objął jedną
ręką jej kibić i patrzył na nią, z
boleścią rozrzewniającą, w każdym ry-
sie odbita. W oku błysnęła łza, i spa-
dała wolno i gorąco na rękę żony. Tak
wzruszonym nie widziała go nigdy.
~~W~~ ten człowiek poważny i zimny,
plakał; - o ileż to on uciepić mu-
siał, zanim do tego przyszło. Posep-
ne przecucie tego, co się działo w du-
szy męża, zakławiło sercem Tydonii;
uczuta, że to była chwila uroczysta
i stanowcza w jej życiu; a przecież wa-

hata się postanowić.

— Teżeli twoje potożenie jest tak niebezpieczne, czemużes' mi to pierwej nie powiedział otwarcie?

Tu spojrzat na nią wzrokiem wy-
rzutu.

— Takto, odrzekł, i jaż ci nie mó-
witem? czyż nasze nieporozumienie
s początku, czyż harde moje słowo
nie tłómaczyło ci to dostatecznie i
jasno? a nareszcie wlasne twoje za-
stanowienie się, nie powinnoż ci
było o tem przekonać?

Sydonia szczerwieniata.

— Teżeli tu tylko ta niedogodność
zachodzi, odrzekła po chwili milce-
nia, to przynajmniej pozwolisz mo-
im rodzicom ponieść te koszty.

Po tych słowach użut Stern, jakby

burzę, bijącą w jego duszę, a serce niewymowna rozdzierata mu boleśń.

Ostatnią nadzieję widział upadającą, a przyszłość rozwijającą się przed nim w istotnej swej okropności.

Wstał blady jak trup i rzekł przytłumionym głosem: — Będziesz miała, czego żądasz.

— Nie! nie! zawołała ze strachem, zrobię wszystko co zechcesz.

Widok jego boleśńi wzruszył ją mocno, i wzbudził uczucie winy.

Ale ta przymuszona uległość nie uspokoiła Sterna. Czuł on nadto dobrze, że postanowienie żony byłoby porywaniem, że je zrobiona z odrazą i wkrótce tego pożałuje. Se-

Inakże starał się tę zgębę utwierdzić, i po-
 dwajał tkliwe dla niej zabiegi. Trochę drę-
 czące go w skrytości, rozpruszał ją mięgi,
 i zdawał się nie uważać na gniewne spoj-
 rzenia matki, która postanowienie córki
 ganita, uważając dwukrotnie jej ociaga-
 nie się jako powód nieufności Ste-
 nowi. Jednakże nikt nie pozwalał się u-
 skarzać w jego przytomności; aż Tydonia
 sama głośno zaczęła narzekać. Tak pow-
 ne i pełne godności byto potężenie
 Stena względem familii, w której pa-
 nowało jakies' niebłogosławieństwo ogólne.
 Tydonia stała się matomówna; Ste-
 nowo często ją we łzach zastawał; spytać się
 o przyczynę, nie miał odwagi, bo wtedy do-
 piero burzaby zaryzata... Już więc co-
 raz bardziej znikata wszelka szczęśliwość

z domu, gdzie oczekiwano co chwila naj-
słodszych rostkoszy, w świecie.

W końcu ta chwila nadeszła. Stern
z niewymowną stodyją wziął na ręce
nowonarodzonego syna i przyisnął
do serca. Potem potrzył go obok ma-
tki i, z uniesieniem padł na kolana
przed nią. Z gorącym uściskiem uca-
tował jej rękę, a ona spojrzawszy
nań z uśmiechem, wzięła Dziecię, po-
pieszcila się z niem, przyisnęła do
serca i rzekła s cicha do męża:

— Kochany Gustawie! może to będzie
lepiej - przystan' na moje ządanie,
choć teraz.

Słowa te ciał śmiertelny zabaty
młodemu szereściu matronów. Stern
powstrzymał swój, żal, a wzburzenie

wszystkich uczuć ostonit w prozby i pie-
 szoty. - Napierania się dziecka ohar-
 me sprawiły bole Sydonii; płaka-
 ta, narzekata; i kilka dni minę-
 ło na ciągłych usiłowaniach męża,
 używającego wszystkich środków, aby
 zionie wytłomaczyć konieczności cierpli-
 wości i początkowej niewygody. Ale
 to wszystko nadaremnie. Opierała się
 coraz więcej - a mąż się przekony-
 wał, że jej tylko na dobrej woli
 zbywato. Nareszcie stracił już zupeł-
 nie nadzieję. Przyjęto mamkę, ale
 tak ślugie i daremne szamotanie
 się dziecka, złamały już młota jego
 budowę. W krótkie zupełnie uwiedta; i
 tak to młode życie zgasto w kilka
 tygodni, ledwie że się wykluto.

Stern poglądał na kolebkę z bole-
sca, gdzie się to biedne dziecko rzuciło
jeszcze w ostatnich dźwiękach skonu,
a Tydonia siedziła smutna i zadu-
mana na przeciw niego. Głębokie mil-
czenie panowało w okolo; lampa wi-
sząca u potapu posępniem migotała
światłem, czuwać tylko dwoje mat-
żonków.

Naraz dziecko przeciągnęło się w
drgnięciu konwulsyjnem, wydało
po raz ostatni głębokie westchnie-
nie i opadło bokiem, strętwiście. Stern zer-
wał osłonę z lampy, i żywe światło
oblało twórkę dziecięcia.

— Patrz! to twoje dziecko, okropnym
głosem zawołał Stern. — Jego ostatnie
westchnienie ostrzega ciębie. Cruxitas!

go pierwszej, a teraz ono ciebie opuszcza!

— Faktz! silnie zawołata Sydonia, ono ciebie oskarża — zabites' je twojém okrucienstwem względem mnie, twoją zatwardziałością nieludzką.

Stern wyprostował się dumnie i rzekł: — Ze to nieprawda, sama do brze wiesz o tem, bo się czerwienisz i drzyz przed oskarżeniem własnego sumienia. O'staraj się wytłómaczyć sobie, że ja morderca tej nieszczęśliwej istoty — możesz mieć to zadowolenie, ogłoś to nawet przed światem — być może, że ci uwierzą; — ale to blade widmo, co wstaje między nami, rozdziela nas na zawsze. Daj Boże, aby ci nigdy nie miewzato sny!

— To mówiąc oddalił się spiesznie, a

Sydonia w rozpacz, padła ze łzami
na zwłoki dziecięcia i okryła je poca-
łunkami. -

VII.

Wiosna i piękne lato, lekkie tyłko zmia-
ny, zrobity, w swobodnym i wesolem życiu
Rozalii. Zatrudniona ustawicznie, szczę-
śliwe chwile spędzata w posród kwiatów
i zieleni wielkiego i pięknego ogrodu. Tył-
ko ojciec starszych czasami ją niepokoił.

Umysł poczciwego profesora stabił się stopniowo, od czasu jak się odsunął od usług. Nie będąc chorym, stał się jaskrawym, jakiegoś dziwnego niepokojem i sam dla siebie jak najdowcipniej wyszukiwał uderzeń. Po całych dniach siedział w swoim pokoju, marzący i obojętny; ta była hańdza, kto się tylko powazył przerwać mu jego samotność, a nader wszystkich córki, starając się obudzić go z tych marzeń utudy. W jego głowie krążyło tysiące urojeń: raz zdawało mu się, że jakiś skryty nieprzyjaciel dybie na jego życie; w tenże zamysł się, i niepodobna było go namówić, aby się choć trochę posilił. Rozalia, jak mówił, miała go otruć. Inną razą wyszedł nie wiedzieć

głowie z domu, i niepowracał aż w kilka dni, straciwszy to co z sobą z oszczędzonych trochę pieniędzy, swej córki był zabral. Po tych obłędach następowato omilenie i głęboki smutek pochodzący z uczucia własnej nędzy. W tych przerwach otaczał się dobrym, pobłażającym i tliwym; nawet pojmował boleści Roxalii, która nie tylko że najmniejszej nie wydała skargi, ale owszem podwajała jeszcze troskliwość o biednego ojca z zachwianym rozumem.

Tym czasem nie zmniejszało się uczucie Fowberga dla Roxalii. Odwiedzał ją często, i jego ku niej skłonność, przy każdym pożegnaniu, coraz dobitniej się wyrażała. Jego uczucie było jakis' osobliwsze, dziwaczne, zatrzymu-

jące na ustach każde oświadczenie, sta-
 nowcze. Sam nie wiedział, skąd taka
 obawa - i ten co dawniej tak śmiało
 słowa przysięg za jednym oddechem
 wymawiał; tą razą stał nierny i po-
 mieszanym, chociaż dopiero prawdziwie
 kochać zaczął. Wzniosły umysł
 młodej dziewczyny robił na nim dziwne
 wrażenie. Czując nadzwyczajny dla
 niej szacunek, malat sam w sobie,
 przed głębochością jej rozumu i myśli,
 a to uznanie wyższości Rozalii, czy-
 niło go bojaźliwym i skłonnym do tę-
 sknych marzeń. Często badał sam
 siebie, usiłując znaleźć jakiś powód w
 Rozalii, który mu ścisłejsze potęrze-
 nie się z nią niepodobnym okazał. Sta-
 ry jej ojciec, jego pomieszanie zmysłów,

zdawało mu się najwięcej niby stać
 na przeszkodzie, ale to jeszcze nie
 było przyczyną wahanja się. Ta przy-
 czyną była raczej Rozalia sama.
 Miła i majestatyczna pewność jej
 postaci; potęga i stanowczosć wo-
 li; nakoniec ta moc duszy, co nie
 zna ani bojaźni, ani powisków losu;
 jest panią swych namietności; przed
 niczem na ziemi nie padnie. Taki cha-
 rakter czynił na nim wrażenie, i stał
 poszanowanie dlań silniejszym byto
 nawet niż miłość.

Stan rzeczy podobny, stawał się
 coraz Towbergowi przystrzejszym.
 Sprzecznne uczucia ciągle kotłowały ser-
 cem, chwiałły wola. Znajdując się razem

z Rozalią, drwione niewał wrażenia.

Wszystkie jej czynności, wszystkie słowa, wydawały mu się, jakby gra promieni jakiejś wyższej istoty, obcej uczuciom ziemskim. Jej rozmowy jaśniały powagą; myśli ptonęły w ideały; a rzeczy zwyczajne nabierały w jej ustach powabu boskości. Tęm wszystkim, tak była prosta i naturalna; tak obca fałszywej exultacji; tak czysto-ludzka i miła, tak szczerą i dobrą; że Forsberg nie będąc przy niej, gniewał się sam na siebie, niepojmując; jak serce pełne uczuć tak nagrzanych i tak gorące; mogło być oziętą tak zimnem i nieczułem! Ciche przecucie obiecywało mu wzrost, pow-

pewność ręki Rozalii, skoroby tylko
 zarządzał; bo jej własny rozsądek tak
 radził. Lecz jego ządania rozciąga-
 ły się dalej. On pragnął miłości;
 za swoje uczucia namienne, pragnął
 namienności na powrót. Z bijącym
 sercem szukał w niej śladu czysto-
 ści i żywszej, a nie znalazł nic, prócz
 dobroci i pogody, pięknej i poświę-
 conej duszy anioła.

Zwolna te myśli nawet w jej
 przytomności gonił nad nim brat.
 W ten czas siedział przy niej marzą-
 cy - mówił tylko półgłosem albo nie
 wcale; potem nagle powstawał i od-
 dał się s pospoczynkiem. Rozalia
 s przykrością to uwariała. Nie tajno

jej, co się w nim działo, bo ona tam
 pania. Zastanowiwszy się dostatecz-
 nie, urwała, że czas młodego przyja-
 ciela pogodzić z samym sobą, i wy-
 rwać go natłonięciu i zamieszaniu i
 niepewności rozdzielającej mu duszę.
 Poczwała się do wdzieczności, wie-
 dząc oddawna, że to on wszystko
 jej małe obrzydki skupował. Z jego
 przychylny używała od roku swobody
 i dobrego bytu; a szkoda było ten
 dobroczynny węzeł tak szlachetnej
 przyjaźni jedną razą przerywać.
 Dla tak pięknego postępowania przy-
 jaciela, czuła się być obowiązana,
 otwarcie całą mu prawdę wyświe-
 cić — tem bardziej, widząc, jakiego

namitność do niej, ciążyła jego wspaniałemu sercu.

Raz pięknego wieczora, Forsberg wszedł do ogrodu. Lato dobiegające już kresu, było szczerzo w całej okolicy pod sklepieniem czystego ciemnego błękitu. Powietrze lekkie i przejrzyste falowało stodo i rozkosznie po wzle młodego mężczyzny; a promienie zachodzącego słońca ciemniały w matowej czerwieni, a odbijając się od drzew wierzbokosów, barwiły migocącym odzieniem wszystkie kwiaty i dojrzewające owoce.

W oku Forsberga lśniła stodo i skłota; myślał, co by to było za prześlicie dla niego; gdyby go w tej chwili spotkała Rozalia, gdyby ją mógł przywitać jak swoją narzeczoną, taką młoda, tak przepiękna, i gdyby ten miły

blaski słońca miał jego szczyście oświe-
 tlić. Porwany i smutny przechadzał się
 w milizieriu pod sklepieniem zieleni;
 niepodobna było pokazać się jej w
 tej chwili. Przebiegłszy piastkiem wy-
 sypaną ulicę, obaczył się na raz w głę-
 bi ogrodu. Naprzeciw niego stał profesor,
 rzucając na wszystkie strony dzikim i
 pomieszanym wzrokiem.

Biedny starzec trzymał wielki kosz
 w jednym ręku, a druga oparł się na
 drabine, przystawioną do konarów opom-
 nej gruszy. Rysy wychudłe, wyjemione
 członki, wzrok dziki oświatego oka,
 wskazywały aż nadto głębokie ślady
 choroby i pomieszanych zmysłów.

Postrzeższy Ferberga, przybiegł do
 niego, pochwycił za obie ręce i ścisnął z
~~wzrokiem~~ z oznaką żywej niespokojności.

— Nie wydaj mi, rzekł, nie mów co ja robię.

— A coż Włan robisz, zapytał Forsberg z uśmiechem.

— Ja chcę narwać gruszek i sprzedać, odrzekł starzec cichym głosem.

— Ale ten ogród nie należy do Włana ani jego owoce — odpowiedział Forsberg.

— To prawda, odrzekł stary profesor, — ale jakże? mam umrzeć z głodu? Życie ważniejsze niż gruski. Trzy dni już, nie jadłem nic. — A to obropnie — umrzeć z głodu.

— A czy Rozalia nie stara się o Włana?

— Stara się, odrzekł starzec cichym głosem, — ale co ja zjem — tego już nie ma, a potem co? Jesi znówu potrzeba, inaczej być nie może. Coż ju-

tro.² a co na przysity tydzień.² No- no- idź sobie. - Tam tyle gruszek - niepoznają ubytku - a ty mię nie wydasz? nieprawdaż?

To mówiąc pobiegł i polazł na drabinę.

— Ach! jakież to długie cierpienia, gotuje sobie i biednej Rozalii, ta dusza w mekka! zawoł Forsberg. Wprawdzie skoncezją się kiedyś dla niej; ale co za kós dla młodej dziewczyny?...

Zwolna zwrócił się ku domowi. Na tarasie z darni usypanej przed bramą, siedziata Rozalia z książką w ręku. Na widok Forsberga, potoczyła ją i podbiegła ku niemu z uśmiechem.

— O długom czekała na Pana, proszę, siąść tu koto mnie, bo mam z nim

dużo do mówienia.

Forsberg zajrzał do książki, która czytana. Tytuł: Tasso Getego. Potem patrzył na nią wzrokiem badawczym.

Rozalia składała ręce na książce, z uśmiechem zapytała.

— Któren charakter, Tassa czy Antonia, uważasz Pan godniejszym cztowieska? Czy natchnionego hochantia, zapalernia: albo cztowieska poważnego, doświadczonego, co poznał świat i serce ludzkie?

— Mnie się zdaje, odrzekł Forsberg zdziwiony, tém nagłym zapytaniem, że poeta chciał umieścić tu dwie postacie, jedne na przeciw drugiej, niby dwa bieguny. Tamta ma przedstawiać

idealności, a ta rzeczywistość. I tak podzi-
wiając wzniosty kształt ducha, przed kło-
nym świat dotykalny, ginie w odmęcie
świata wewnętrznego, światu myśli; wi-
dziemy, że to nie dosyc: czuć z uniesie-
niem i zapomnieć świat rzeczywisty w
świątecznych wysileniach zapatu; potrze-
ba oraz pewnym nieomylnym, wzrokiem
patrzeć w czynny życia towarzyskiego, je-
żeli nie chcemy upaść przez ich wstrząśnie-
nie.

— Więcej u Pana jest Antonio jest prawdzi-
wym człowiekiem? rzekła Rozalia.

— Proszę nie zapominać, odrzekł Ton-
berg, że w tych dwu postaciach, poeta
chciał przedstawić dwa pierwiastki zasa-
dnicze umysłu ludzkiego. Pomyśl o nich
skreślił z najściślejszym następstwem: z

jednej strony, wyobraźnia; uczucie głębokie
 wszystkiego, co jest wielkiem i pięknem;
 nawalność uczuć, łatwych do poruszenia;
 gwałtowny pociąg ku teraźniejszości; pa-
 nowanie namiętności i zmyśłów; - a to
 wszystko bez oporu - bez rozważań: z dru-
 giej strony zimna i roztropna rachuba,
 dyplomatyczna wszelkiej namiętności po-
 wściągliwość; subtelna i lekka przenikli-
 wość ducha kupieckiego, który za pomo-
 cą swoich dowcipnych spekulacji, umie
 wyciągnąć z życia wszelką możliwą ko-
 rzysć. - Jest to wieczna walka między
 sercem a głową, między uczuciem a my-
 ślą. I ludzie podlegli są tej obojczy potę-
 dzie; nie należąc jednak ani do jednej
 ani do drugiej wyłączenie. Chodzi tu

tylko o to, która z tych dwojga potęg przeważa: czy zimna rozważa i jej ra-
dy rozstrzygane, mogące zmienić życie na
subtelizowanie myśli.....

— Czy serce i gorąca krew, przeważa-
ta Rozalia - szczególnie serce, co stę-
pione doświadczeniem życia, wśród
świata utworzonych przez siebie ma-
rzeń, przychodzi wkrótce do rozpaczki
i do szalenstwa.

— Otóż właśnie dla tego, wielkiem jest
dobrodziejstwem opatrności, odrzekł
Forsberg wzruszony; że rzadko się zda-
rza, aby którakolwiek z nich objawi-
ła się wyjątkiem w ostowieku.

— A Panie do której użyjesz z nich
skłonność? zapytała Rozalia.

Forsberg wypatrzył się na dziewczę
i odrzekł z uśmiechem:

— Ładnie mi się, że do serca i namięt-
ności!

— A mnie, odrzekła Rozalia z bólem,
wytaczasz Pan z obrębu tchliwych i serdecz-
nych uścisków? Z jednej strony może i stu-
żenie - ale z drugiej niestwierzenie. Ach! au-
ję ja z uniesieniem i prawdziwie - z
zapamiętaniem utworzyłam dla siebie świat naj-
piękniejszych marzeń; ale je z życiem
nie mieszam - nie zapominam że ma-
rze. Któż teraz szczęśliwszy? czy ten co
się poda na los, oczekując z odwagą i
sercem nieustraszonem jego podstępów:
czy ten co się wiecznie spodziewa, któ-
remu w myśli tysiące wyrasta kwiatów
jako przedmioty żądaj; i którego potem nad

każdym z nich ptacze i jeży. Ale i on
 ma swoje rośliny, jakich prawie
 nigdy nie razna state i zimne serce.
 Wprawdzie gorąca krew smaga go i drę-
 czy za każdą straconą chwilę; ale też
 znowu najtawiej, do nowej mitosi, do
 nowych wezwie go marzeń. — Pozwa-
 lam Panu, że moje serce uległo rozu-
 mowi; ale, chociaż w długiej zwyciężone
 walce, bynajmniej jeszcze nie zmartwia-
 ło. O biada, kto już powie o sobie: mo-
 je serce jest martwe! To musi być po-
 czwara. Ale znowu i temu biada, kto
 się jedynie popędem serca kieruje! —
 Serce! to istota bezrozumna, niestata,
 ślepa, namiętna, dziwaźna, mania-
 ca, straszęto naszego życia, co nas

tajemniczym kotem okresa; anielskim
 widzeniem upaja; — a gdy przyjdziemy
 znowu do siebie — przerzucia się w ho-
 sciotrudy i przebrzydłe widma. — Po-
 trzeba więc xdrzec powab, chociaż się
 nam jak roskoszyrn wydaje. — Ale
 Pan widzę takie marzysz, potrzeba
 go obudzić.

J byto-to jakby iskra elektryczna,
 ktora drgnęła mu sercem; gdy Raza-
 lia wzięła go za rękę i stodkim wzro-
 kiem spojrzęła w jego jaśniejącym o-
 bliżu.

— Pan mię hochasz, rzekła podchw-
 li, i od niejakiego czasu powiadęś
 postarowienie ofiarowac' mi swoje
 rękę.

— A Rozalia, odrzekł wzruszony, chce

mi dowieść, że to szalenstwo, i że nie mam się czego spodziewać?...

— Nie, mój przyjacielu, zawołała Rozalia — nie-wistocie: Chce cię tylko wybadac, czy cię prawdziwie uszczęśliwić może. Jeżeli ci się zdaje, że może, i będe twoją, i każda chwila mojego bytu, życie całe — do ciebie — jedynie do ciebie — odtąd należeć będzie.

— Skłótytaj, zawołał Torberg obejmując jej kibić — odpowiem ci s całą otwartością serca. — Oby Bóg opiekun Kochanków, natchnął mi swoją wymowę!

— Najpręd, rzekła Rozalia, — przyjm zaręczenie szczerzej i wyłaśniejszej przyjaźni. Ale nie myśl, że to

jedynie twoja dla mnie przychylność, lub
 moja wdzięczność tym mię uczuciem na-
 lehnęty. O! nie —, twoja dobroć i roztropna
 słachetność, twoje czynne życie i obecny
 stosunek, co nam dopomógł ocenić się
 wzajemnie; wywarły na mnie ten
 wpływ. Tu mam dla ciebie wielki sta-
 cunetki, czuje jak najmocniej twoją war-
 tość; wiem że s toba nie podobna mi
 być nieszczęśliwą; ale... ja cię nie
 Kocham.

Ręka Forsberga spoczywająca w
 ręku Rozalii, opadła zwolna, a na
 twarzy ognisty wystąpił rumieniec.

— Tak-to tak, Rozalio, odrzekł smu-
 tnie, ty ~~nie~~ ^{nikogo} nie Kochasz, bo nikogo
 nienawidzić nie umiesz.

— Kocham, odrzekła zgodnością —
 Kocham i umiem nienawidzić — ale ni

jedno ni drugie, tylko za popędem krwi.
 Ja, kocham lub nienawidzę w miarę sily
 mojego przekonania. Tak kochalam
 Sterna, tak go kocham dotychczas, i nie
 mię z nim rozdzielić nie zdoła. Ty zaś
 jesteś człowiekiem namiętnym - na
 twoje postanowienia równie jak na
 twoją przyszłość, mają wielki wpływ,
 krew i wrażenie chwilowe, osoba, jak
 ja, zimna spokojna i rozważna,
 to nie dla ciebie. - Tobie potrzeba żyć na
 wielkim świecie; a ja wolę szczerze
 grono przyjaciół drogiej mojemu sercu;
 ty posiadasz wszystko, co ty tylko
 życie umiść, urozmaicić i uświetnić
 potrafisz: ja zaś skłonna jestem do ży-
 cia odosobnionego w zaciszu, do szcze-
 ścia pretnego stolicy i spokoju, do
 oddalenia się od burzy świata; coby ci

się niezawodnie nudném, a może i nie-
znośném stato.

— Czy do tego stopnia udato mi się
pożytkać twój szacunek? wyrzekł
z bólem Forsberg.

— Moją szacunek, zawołata Ro-
zalia - o wieraj mi - nigdy mi ci go
tyle nie okazywała jak w tej chwili.

Przed nami są dwie drogi moją przy-
jacielu, ale ni jedna ni druga nie pro-
wadzi do szczęścia. Ty, znużony pro-
kojem mej duszy; albo zerwiesz te
więzy, w które moja przystośność³ wzię-
ta twój charakter, i z gwałtownością²
daleko okropniejszą, rzucisz się w od-
met świata... a w ten czas ja dla
ciebie - zły duch, smutne i posępne
tło twoich myśli; źródło boleści, w ci-
całe życie zaleje i popchnie w namię-

tną rozpuścić; - albo...

Tu zatrzymała się chwile, przeglądając na blada twarz mężczyzny, na której wyryte było, prawie zupełnie omdlenie na duchu.

— Albo, mówiła dalej, przy ogromnej mocy mojego charakteru i za nadto silnym nad tobą panowaniu: życie twoje stłumione niknie lub skrzewi się, jak roślina - ty się poddajesz - postępujesz, podstępem okoliczności, jak sztywne łagodne i delikatne; ale to wszystko powolnie, bezsilnie, wiecznie w nieprzewności, aż dorozka ostatnia sprężyła twojej dzielności nie pęknie; a potem już tylko jak maszyna chodzić będziesz pod wpływem obcego nacisku.

Po tych słowach nastąpiła długą mil-

czenie. Forsberg patrzył w dół, a w sercu wrzały gwałtownie rozmaite uczucia. Miłość i duma; burzliwy gniew wywołany samolubnym tlómaczeniem się Rozalii, a przytém przehowanie o jego prawdzie i tajemny wstyd z podobnego przyznania: wszystko te uczucia staczały w nim straszna walkę, barwiąc twarz grubą czerwieńią. —

— Ale czy niema jeszcze trzeciej drogi, zapytał po chwili, czy nie możnaby te ostateczności potążyć? Czyli już tak niemierna i doskonała sądzisz się być, Rozalio, że mój charakter nie potrafi przestąpić twojego, i rozciąć harmonijne łańcuch się tych rozmaitych żywiołów? ... ży-

jesz samotnie, odoobniona od swiata;
 ja cię z nim pogodzę; pogardzisz ~~wszystkiem~~
 wszystkim co jest prozaiem: ja po-
 równam różnicę; w końcu precyzyjne
 żywioły, co dręta nasze serca i rozum,
 w jedno zlejemy - ja wzmacniać bę-
 dzie w tobie chwilowe wrażenia życia:
 a ty na wzajem, będziesz utrzymy-
 wać we mnie wyższe pojęcie wta-
 snej godności i siły ducha.

— Alboż ty mniemasz, że mnie
 brakuje czułości? odrzekła żywo Ro-
 zalia. Czyj moje serce nie uderza
 silnie na każdą piękność i wielkość?
 Kwiatów, gwiazda, myśl piękna,
 czy nie zachwycają mnie rozkosznie?
 Czyj nie podzielam radości i smutków,
 co może dotknąć istotę ludzką?...

Potrzeba mi tylko pogodzić się s formami życia, które są dla mnie tak świeże i martwe. Jeżeli to potrafisz, jestem twoją - i tej myśli podaje się z zaufaniem. Tak, mój przyjacielu! spróbujmy wzajemnie się uszczęśliwić.

Forsberg pochwycił z żywością rękę Rozalii i zaczął z zapałem oświadczać swoje uczucia. Wtém w głębi ogrodu dał się słyszeć łoskot tamiącego się drzewa.

— Ach! cóż-to takiego, zawołała Rozalia.

— O Boże! zawołał Forsberg. Twój ojciec!... boję się jakiego nieszczęścia.

Rozalia wymknęła się spiesznie

i pobięła.

— Zaczekaj, posłuchaj mnie Rozalio!
zawołał Forberg.

Ona nie słuchając, daleko go wy-
przebiegła i stanęła u drzewa. — Dra-
bina wywrócona, na niej ogrom-
na gataż utamana; a między liwciem
i owocem leżało bez ruchu ciało starca.

Rozalia stała chwilę niema, drżą-
ca i blada nad tym okropnym zja-
wiskiem; potem z żywością zewa-
ta gataż i drabinę które przywały
jej ojca i uklepiła nad nim.

— Odycha! zawołała zrywając się,
ratunku! Forberg! przedko-
ratun-
ku!

Studnowością, drwignęli ^{stoją} potłuro-
ne ciało starca i zanieśli je zwolna.

do domu. Złozony na łóżku, głęboko
jeszcze raz westchnął starzec - ale
to było westchnienie ostatnie... - Ro-
zalia padła na kresło, pochwyciła
owistą rękę ojca i z wielkim bólem
przycisnęła do serca.

Forsberg porwał za kapturkę i
chciał odejść.

- Dokąd? zapłata Rozalia.

- Po lekarza - zawołał pomieści-
ny.
- Łostari, odrzekła scicha - już
nie potrzeba lekarza - nie żyje.

Wzięta za rękę zmarłego, i złożyła
mu je w krzyż na piersi, wierznie
już odąd spokojnie - i pocatowała
go w czoto. Potem odwróciła się. Dzin
już dogorywał, a jeszcze ostatnim pło-

mieniem błysnął przez okno i oświecił miłe blade, twarz umarłego. Rozalia obłana również tym ostatnim blaskiem zachodu — światła jak jutrzeń-
 ska, stała w majestacie pięknego obli-
 ца — wzniosta cierpieniem, wzniosta
 rezygnacją, i wsmiechając się miłe jak-
 by duch jaki, silnie wstrzymywata
 cisnąc się try. —

Forsberg, poglądał na nią smu-
 tnie i z zadziwieniem. — On niepoj-
 mował takiego panowania nad sobą.
 Od tej chwili tak uroczyściej, tak stru-
 szniej; nie wstydzał ni skargi ni
 westchnienia — co podwajało jeszcze o-
 bawę, która go natchnęła ten dzielny
 charakter.

W tem drzwi się z lekka otwały.

i wszedł Stern. Postać miał blałą i
znuzoną - postąpił z wolną ku Ro-
zalii nawet nie uważając Forsber-
ga.

— Ołóż jestem, rzekł - stwórznieś mó-
wita; zrobitem na sobie okropne do-
świadczenie. Jestem zmęczony i straci-
tem dziecię; moja żona mnie porzuciła,
kom ja nieszczęśliwa użynit. Do cie-
bie przychodzię Rozalia, szukac' poko-
ju i siły - pojednania się z samym
sobą. Przyjmieszże mię, czy mam się
na prawo oddać?²

Rozalia wskazała ręką na tożho
i rzekła poważnie: — Wiedzisz? mój
ojciec.

— Umart! zawołał Stern.

— A to mój narzeczony, dodała gło-

sem pewnym.

Stern spojrzal na Forsberga, a blada i pomieszana twarz ozywila sie znou; widac' byto, jak b'ot wewnętrzny sciagnal mu rysz.

— Będzie szczęśliwi, rzekł przy-
tłumionym głosem i w pewnym wy-
razem wieszczego ducha — szczęśli-
si odemnie... to są moje życzenia...

Potem z wolna ku drzwiom się
zawrócił. Forsberg pochwycił go za
rękę i nagle zaprowadził go przed
Rozalią. Nie mówiąc słowa, rękę
lekarza złożył na rękę Rozalii,
i wybiegł spiesźnie s prochoj.

Stern stał chwilę zadumany,
jak gdyby się zagubił w marzeniach,

a potem widnie usciwnał Rozalię.
Ona pochylita się mu na pierwi, i
tę niezwykną spłygnęty gorąco na
twarz zaptakana dziewczicy.

— O moja Rozalio, zawotał na-
koniec. — Przebaczasz zaptakanemu?

— Będziemy szczęśliwi — moją gusta-
wie, rzekła wznosząc ku niemu wiel-
kie oko natchnione. — Czuje że to
jest naszym przeznaczeniem. —

W rok potem Rozalia była szczę-
śliwą matronką Henna, któren się

już wcale nie kłopotat, gdy jego stary
ojciec u stołu godowego wyrzekł kilka
słów prosto, dając błogostawien-
stwo młodej parze, a porzuca pa-
ni matka w zachwyceniu uściskną
piękną, niewiastę w całej okazałości
stroju panny młodej.

Gdy już Parństwo młodzi zosta-
li sami; Stern pokazał żonie pi-
smo, które nie dawno odebrał. Ro-
zalia czytata je z uśmiechem. Była
to wiadomość o ślubie rozwódki
Konwyliarzewej po Sternie, Sydo-
ni s Pinzerow - z młodym rad-
cą Finansowym Forbergiem.

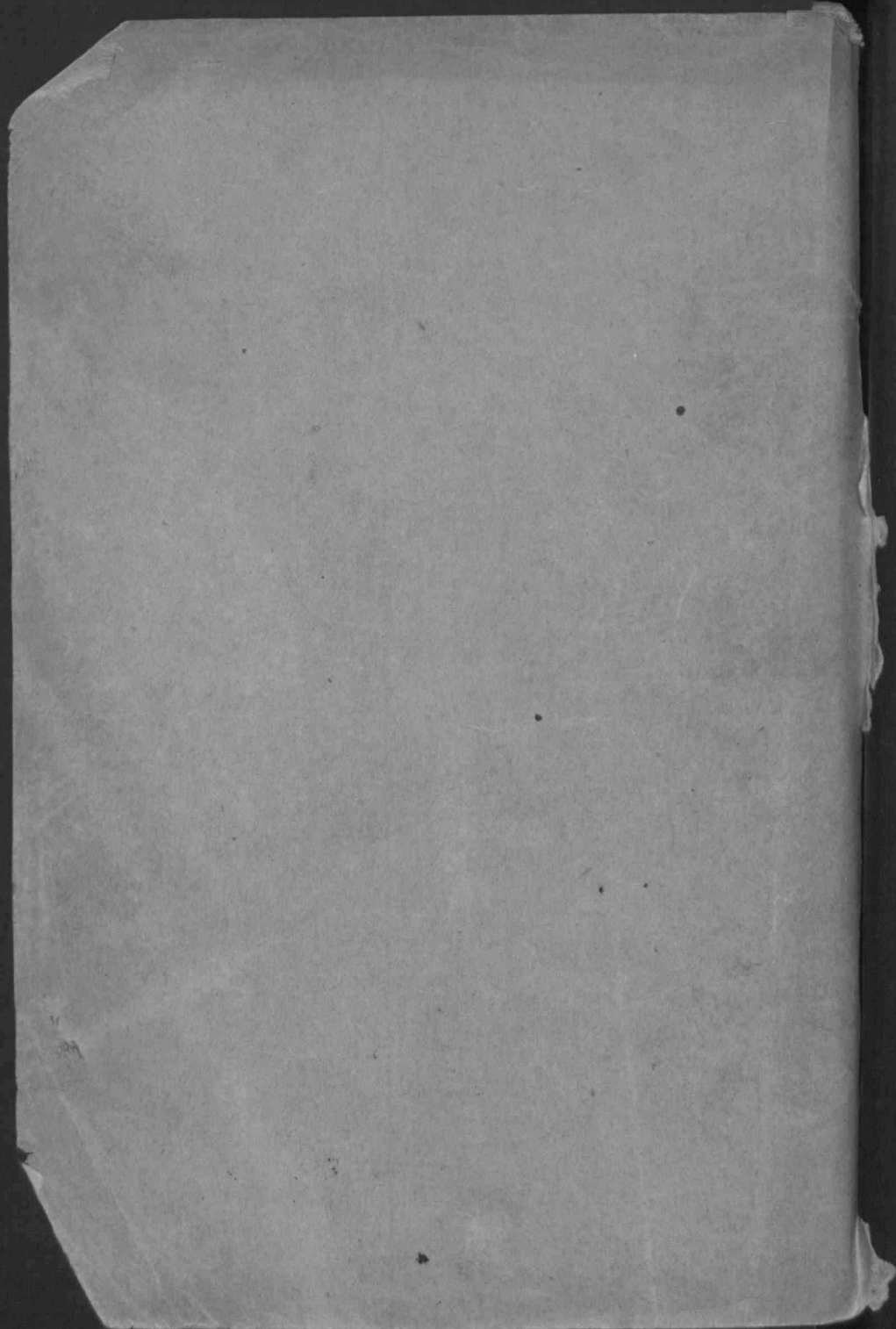
Dziś, zawołata Rozalia - w tym
tak mitym dniu, jeszcze da nas

201

jedna ucieka. Oni tylko tym sposobem mogli być szczęśliwymi, i będą niemi niezawodnie. —

Z księgozbioru
Stanisława Spittala
Dział, _____ No, _____

Thoniec.



Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.

Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.

All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.